Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 33 Czwartek 1 października, 1942 Cena (Price) 1/-

TREŚĆ:

NARÓD A WOJNA

W POSTAWIENIU zagadnienia umyślnie kładziemy nacisk na pojęcie narodu, a nie państwa, i na pojęcie wojny, a nie wojska. Bardzo często pojęcia pierwsze rozumiane bywają jako synonimy pojęć drugich. Błąd ten, zdawałoby się czysto teoretyczny, doprowadził do następstw katastrofalnych. Oddziaływać i wywierać wpływ na zjawiska można tylko wtedy, jeżeli się je rozumie.

Czytelnikowi Polakowi nie potrzebujemy tłumaczyć różnicy między narodem — substancją i państwem — formą. Inaczej jednak przedstawia się dotąd stan rzeczy w społeczeństwie polskim, jeśli idzie o pojęcie wojny i zagadnień wojskowych. Wojna jest pojęciem szerszym, niż wojsko. Na wojnę w znaczeniu dzisiejszym tego słowa składają się : polityka ekonomia, morale społeczeństwa i problemy wojskowe. Nad wszystkim zaś unosi się filozofia wojny, która może być różna po obu stronach walczących, którą jednak obie strony muszą starać się zgłębić w obu jej aspektach pod grozą klęski i związanych z tym następstw.

Jest rzeczą oczywistą, że wojna nie jest celem samym w sobie, lecz środkiem : bądź używanym przez politykę dla zrealizowania celów zaborczych lub prewencyjnych, bądź narzuconym polityce kraju napadniętego dla obrony i zachowania jego bytu lub stanu posiadania. Ta zależność wojny od polityki posiada — nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie — znaczenie bardzo doniosłe.

W chwili obecnie przez nas przeżywanej istota toczącej się wojny musi być poznana i zgłębiona. Wysuwane dotąd określenia nasuwają poważne zastrzeżenia. Podręczniki historii wiele miejsca poświęcają klasyfikacji i definicji wojen. Historycznie wojny datują się od epoki bronzowej, kiedy wynaleziono specjalne narzędzia zabijania. Czytamy więc w historii o najprymitywniejszych wojnach łupieskich i zaborczych, napotykamy takie określenia, jak wojny feudalne, dynastyczne i sukcesyjne, religijne, narodowe czy narodowościowe i imperialne. O wojnie obecnej mówi się najczęściej, że jest to wojna totalna, lub że jest to wojna ideologiczna.

Zawcześnie jeszcze o klasyfikację tej wojny jako zjawiska historycznego, oba zaś współczesne określenia uważać musimy bądź za niewyczerpujące, bądź — jak dotąd — za błędne. Pojęcie wojny totalnej tłumaczone jest na wiele sposobów. Najpopularniejsza jest definicja, iż jest to wojna, w której każdy członek narodu jest bezpośrednio zaangażowany i zagrożony. Naszym zdaniem to określenie toczącej się wojny nie wystarcza, mimo łatwości z jaką się przyjęło. Po prostu nie wyczerpuje zagadnienia i odnosi się raczej do metody, niż do treści zagadnienia.

Określanie tej wojny zaś jako wojny ideologicznej uważamy wręcz za błędne. Popatrzmy : oto w obozie agresorów znalazła się Finlandia, bodaj najklasyczniejszy kraj demokracji w Europie, który nawet w wojnie, i mimo liczenia się z cała potęgą Niemiec, nie zaparł się niezawisłego sądownictwa, instytucyj parlamentarnych i wolności słowa. Po stronie Aliantów zaś jednym z głównych sojuszników są Sowiety, których instytucje wewnętrzne, metody rządzenia i wychowania różnią się zasadniczo od pojęć demokratycznych.

Nie, zdefiniowanie obecnej wojny nie jest łatwe. Uznawanie tej wojny za konflikt ideologiczny już w momencie jej wybuchu czy nawet w chwili obecnej — choć możliwe są duże przeobrażenia w przyszłości — było by równocześnie przyznaniem Niemcom hitlerowskim elementu ideologicznego w zorganizowaniu agresji i dokonaniu napaści. Nie jest żadną ideologią dążenie do barbarzyństwa i do zbrodni, niszczenie kultury chrześcijańskiej i cofanie dorobku cywilizacji ogólnoludzkiej do epoki człowieka jaskiniowego.

Nie przemieniło tej wojny w wojnę ideologiczną i wejście do niej, po stronie napadniętych, Rosji Sowieckiej, która znalazła się w walce nie ze względów ideowych, lecz pod naciskiem konieczności życiowych.

WOJNA O PRZEŻYCIE

W chwili wybuchu wojny była to metodycznie i planowo przygotowana napaść na słabszego. W chwili obecnej, po całkowitym podniesieniu przez Niemcy przyłbicy, jest to, jak się najtrafniej wyraził Prezydent Roosevelt, wojna o przeżycie — **war of survival.** W ujęciu niemieckim wojna ta jest zagrożeniem życia jednostek i zagrożeniem bytu narodów. Niemcy nam wszystkim taką wojnę narzuciły i tego charakteru dotąd ta wojna niestraciła. Musimy też o tym pamiętać zarówno w odniesieniu do porządku międzynarodowego, jak i naszych spraw wewnętrznych. Najpierw trzeba Polskę odzyskać, potem ją urządzać, najpierw wyzwolić podbitych, a potem dopiero proponować im orientacje. . . .

Nie ta ostatnia myśl jest głównym naszym tematem na dziś. Chodzi nam bowiem teraz o to, jak naród i jego kierownictwo polityczne mają pojmować zjawisko wojny, żeby odzyskać bądź zachować niepodległość. Wojna obecna zaś tym różni się od wielu innych w historii, że stawką w niej jest nie militarna tylko przegrana, która nie dotykała zwykle szans przetrwania samej substancji narodowej ; **w tej wojnie chodzi o fizyczne być lub nie być narodu.** Tak ją rozumieją Niemcy i inne totalizmy, ścierające z powierzchni ziemi wszelką indywidualność jednostek i narodów. Stawka jest więc o wiele większa, niż zwykle, i powiedzenie Staszica : **"upaść może i naród wielki, zniszczeć tylko nikczemny"** może w naszych dziejach po raz pierwszy okazać się nieaktualne. Nie chodzi nam zresztą o szerzenie pesymizmu, przeciwnie widzimy wiele elemetów pozwalających na uzasadniony optymizm, ale chodzi o zdanie sobie sprawy z tego, czym nam grożą wrogowie i o co gra się toczy.

AUSROTTEN !

Od wielu lat nie powinno było dla bacznych obserwatorów ulegać wątpliwości, że dążeniem Niemiec będzie wręcz zniszczenie przeciwnika. Ta myśl niemiecka nie jest nową. Wywodzenie jej tylko od Ludendorfa jest błędne. Ojcami filozofii wojny germańskiej w czasach nowożytnych byli Fryderyk II i Clausewitz. Dzieło książkowe tego ostatniego p.t. "Vom Kriege" zupełnie niesłusznie oceniane było wyłącznie jako traktat o strategii. Pomijano bowiem zupełnie w ten sposób element **filozofii wojny germańskiej** w tej książce. Clausewitz zaś pierwszy sformułował zadanie wojny w służbie polityki jako zupełne zniszczenie (ausrotten) przeciwnika. Nie rozumiano naogół tego sformułowania, oceniano je wyłącznie w sensie strategicznym jako zniszczenie żywych sił militarnych nieprzyjaciela ! Clausewitz ujmował to znacznie głębiej, wychodził poza strategię i dopuszczał w wojnie zniszczenie, a nie pokonanie tylko, wszystkiego, co stało na przeszkodzie realizowaniu celów politycznych niemieckich. Na tak przygotowanym gruncie już tylko nie wielki krok mieli do zrobienia Schlieffen, Ludendorf, Spengler i wreszcie Wielki Sztab Niemiecki, by przyjąć jako cel ostateczny swojej filozofii wojennej całkowite zniszczenie przeciwnika i przez to **absolutne** poddanie go woli narodu niemieckiego. Niezrozumienie tych spraw przed rokiem 1939 uważać musimy za pierwszy i najważniejszy powód naszych klęsk.

NIEPOKÓJ KRAJU I EMIGRACJI

Jeżeli do tej pory zjawiska te nie zostały jeszcze w całej pełni zrozumiane, to jednak jesteśmy przynajmniej świadkami niepokojenia się o te sprawy. Objaw to zdrowy. Najgłówniejszą troską emigranta polskiego, troską czasem świadomą, częściej podświadomą, jest pytanie, czy na pewno odzyskamy niepodległość. Zdrowym instynktem wiedziony rozumie on, a raczej wyczuwa, stawkę, o jaką toczy się wojna. Emigrant polski śledzi z zapartym tchem codzienne komunikaty z frontów — czego tak często nie rozumieją u nas Anglicy—, wyniki działań przeciw łodziom podwodnym, wyniki bombardowań lotniczych, wreszcie analizuje sam siebie, czy aby istotnie robi to co należy, by jak najszybciej odzyskać niepodległość. Bacznie też obserwuje tych, którzy za te sprawy ponoszą odpowiedzialność i jeśli nie znajduje budujących przykładów, to właśnie tu szukajmy tej najbardziej istotnej — lecz zdrowej, bo zbudzonej przez instynkt społeczno-zachowawczy — przyczyny ogromnego tego niepokoju, który emigrację ogarnia.

Myśli też o tych sprawach Kraj, myśli o przyczynach klęski i nie zadawala się wcale powierzchownymi formułami, lecz sięga do analizy głębszej. Ech tamtejszego niepokoju i troski najgłębszej o przyczynę rzeczy nie mogły przydusić straszne warunki życia i bytowania, więc też głosy stamtąd dochodzą i nas.

Społeczeństwo polskie zostało całkowicie zaskoczone rozmiarami kataklizmu 1939 roku. Ptzyczyny tego widzimy dziś jaśniej, niż wtedy. Nie rozumiano u nas zagadnienia wojny. Nie pojmowano, że dopóki rozum ludzki, lub siła wyższa, nie usunie zjawiska wojny, niebezpieczeństwo jej, liczenie się z nim i przewidywanie go, musi być podstawą każdej zdrowej myśli politycznej i każdej koncepcji organizowania i zachowania państwa. Nie rozumiano u nas wojny i identyfikowano zawsze wojnę z wojskiem. Podziwiano wspaniałą postawę żołnierza na defiladach i oceniano właściwie wspaniałego ducha armii. Najśmielsi przewidywali klęski, nikt nie myślał o katastrofie . . .

Złożyło się na to co najmniej kilka czynników, z których jedne były od nas samych zależne, inne niezależne. Mamy zamiar mówić tylko o tych pierwszych, a z nich wyróżnić na dziś zagadnienie kultury wiedzy o wojnie oraz zagadnienie ustroju urządzeń Obrony Państwa.

BRAK WIEDZY I BRAKI USTROJU

Kultura wiedzy o wojnie w Polsce została przerwana w swym rozwoju wieloma laty niewoli i odbudowywała się na zrębach wiedzy nabytej u Austriaków, Rosjan i Niemców. Własna myśl wojskowa, wytwarzana w Legionach, nie mogła się uporać w pełni z trudnościami rzemiosła wojskowego, formowania i szkolenia oddziałów, a cóż dopiero mówić o strategii czy filozofii wojny. Samoucy, nawet bardzo zdolni, nie zastąpią nigdy prawdziwych profesorów, pracujących wedle m e t o d y naukowej. Tych zaś nie mieliśmy jeszcze wcale.

Nie było w Polsce np. ani jednej katedry uniwersyteckiej poświęconej nauce o wojnie. Nie zdawano sobie również zupełnie sprawy z rozwoju myśli wojennej u naszych zachodnich i wschodnich sąsiadów, z tego, że u nich gruntowała się całkiem nowa filozofia wojny i że poświęcając tak wiele ze swego rozwoju pokojowego dochodzili oni prędzej do nowych wniosków w dziedzinie strategii i taktyki, niż jakiekolwiek inne państwo Europy.

Z braku wiedzy o wojnie, a zwłaszcza o istocie nowej wojny, która zbierała się nad nami, płynął, nie w najmniejszej mierze, również poważny błąd u s t r o j o w y w dziedzinie zagadnień Obrony Państwa. Identyfikowano wojnę z wojskiem, czego najwymowniejszym może symbolem jest nazwa Ministerstwa Spraw Wojskowych (zamiast : Ministerstwa Wojny). Oczywiście nazwa nie decyduje o rzeczy samej i w tym wypadku jest ona przede wszystkim symbolem. . . .

W ustroju naszym państwowym przed rokiem 1939 sprawy obrony niepodległości, t.j. sprawy wojny, oddane zostały całkowicie czynnikowi wojskowemu. Jak dziś doskonale wiemy, zostały one otoczone przesadną tajemnicą wojskową, która obowiązywała nie tylko zwyczajnego obywatela, ale dotyczyła również członków egzekutywy państwowej i ciał ustawodawczych. W tych warunkach całe zagadnienie wojny,

a więc obrony niepodległości, a więc zachowania podstaw bytu narodu, znalazło się praktycznie w rękach jednego człowieka, najpierw Marszałka Piłsudskiego a potem Śmigłego–Rydza. Wszystkie decyzje związane ze sprawą wojny, a dziś możemy spokojnie powiedzieć, że obejmowały one tylko sprawy wojska i częściowo strategii, — były w rękach jednostki. Organ konstytucyjny, Minister Spraw Wojskowych, oraz instytucja Sztabu Głownego, Inspektorów — spełniały wyłącznie rolę organów doradczych lub nawet tylko wykonawczych. Skoro zaś w praktyce opanowanie całości zagadnień wojny przez jednego człowieka nie jest możliwe, **w wielu najżywotniejszych sprawach w ogóle nie pobierano decyzji.** Z powodu wzięcia na siebie odpowiedzialności przez ciało jednoosobowe, instytucje doradcze mogły sobie pozwolić na niewystępowanie z inicjatywami i z tego tytułu nie poczuwać się w ogóle do odpowiedzialności korporacyjnej czy instytucjonalnej, czy nawet, wewnątrz instytucyj, osobistej.

Podobnie przedstawiała się w tych ramach sprawa jeszcze ważniejsza, t.j. sprawa kontroli. W sytuacji, w jakiej znajdował się czynnik odpowiedzialny, o kontroli nie mogło w ogóle być mowy; zastąpiono ją sloganami i propagandą.

RZEMIOSŁO WOJSKOWE I FILOZOFIA WOJNY

Sama myśl wojskowa polska, rozwijająca się w warunkach bardzo trudnych, nie miała korzystnego klimatu. Naprawdę to generałowie pisywali często o walce drużyny, a porucznicy lub młodzi majorowie o strategii czy polityce wojennej. Nauki o wojnie nie było w wojsku zupełnie. W niższych szkołach oficerskich uczono doskonale rzemiosła wojskowego, w Wyższej Szkole Wojennej rzemiosła sztabowego, na nielicznych kursach wyższych w pewnym stopniu rzemiosła operacyjnego. Nauki strategii, polityki wojennej i filozofii wojny, innymi słowy nauki o wojnie, nie było zupełnie. Nie wielu ludzi zdawało sobie z tego sprawę i dziś jeszcze bardzo wielu nie rozumie tego zupełnie. Uważano np., że nauka historii wojen w pełni reprezentuje naukę o wojnie. Nie! Wojny i charakter wojen podlegają zmianom. Filozofia wojny zmienia się również, niezmienne pozostają tylko zasady strategii. To też w nauce o historii wojen szukano przede wszystkim potwierdzenia zasad strategicznych i ewolucji taktycznych form walki. Polska literatura wojenna była bardzo uboga. Najbardziej znanymi i czytanymi dziełami były "Przeobrażenia wojen" Camona i "Zasady wojny" Focha. Oba te dzieła, oryginalne, źródłowe i bardzo wartościowe, nie wyczerpywały w pełni zagadnienia. Nie ujmowały bowiem najistotniejszej sprawy, iż filozofia wojny może dążyć do **całkowitego zniszczenia** pobitych narodów. Oba te dzieła były klasycznym przykładem szukania w zjawiskach wojny zasad naukowych, jakie kierują nietyle całością zagadnienia co rzeczywistością pola bitwy.

W dziedzinie rzemiosła wojskowego czy sztabowego ukazywało się u nas szereg prac pierwszorzędnych. Ukazywały się wprawdzie również książki o wielkich tytułach, były to jednak dzieła nieoryginalne, kompilacje z Douheta czy Fullera, obracające się również w skali strategii, taktyki, trochę polityki, ale nie w skali zagadnień wojny jako całości.

Na szczególne podkreślenie zasługuje propaganda straszenia, stosowana u nas przez czynniki urzędowe dla zdobycia funduszów na rzecz L.O.P.P. i F.O.N. Obrazy straszne tej propagandy wywarły m.i. ten skutek, że nie pozostawiły miejsca na chłodną i spokojną ocenę niebezpieczeństwa. Propaganda ta sprawiła również, że społeczeństwo cywilne i nawet niektórzy przywódcy polityczni z tym większym patriotyzmem zawierzyli sprawy wojny wyłącznie czynnikom wojskowym. Historia tylko oceni, ile w tym patriotyzmie było podświadomej lekkomyślności. Najważniejszym zaś kryterium tej lekkomyślności, ograniczonej w tym wypadku co prawda do ściślejszych kół ówczesnego rządu, była beztroska wiara, że wojny w ogóle nie będzie, lub slogan polityczny suflowany z Berlina, że dyktator nie może kłamać i złamać danego słowa . . .

By obraz był zupełny, musimy sobie uzmysłowić, że naród i społeczeństwo polskie weszły do swej największej próby w historii z pełnymi walorami moralnymi, ale bez świadomości, co jest stawką tego kataklizmu. . . . .

Przy przemyśliwaniu tych zagadnień należy stale mieć na uwadze stronę **ustrojową** problemu. W praktyce żadna z dwu głównych teoryj o roli jednostki i masy w historii nie jest prawdziwa. I jednostka musi poczuwać się do inicjatywy i starać się nadawać kierunek masom, i masy nie mogą zdać wszystkiego na jednostki. W naszym ujęciu nie chodzi o osądzenie jednostek, ani też o potępienie mas. Chodzi nam o zwrócenie uwagi, że w sprawach najistotniejszych bytu narodu zagadnienia główne nie mogą być rozwiązywane samowolnie i bez kontroli i że trzeba tak wszystko poustawiać, żeby grało jak najlepiej dla całości.

I dlatego sprawy wojny nie można zawierzyć wyłącznie wojsku, a sprawy pokoju wyłącznie czynnikom polityczno-cywilnym. — "Wojna to za poważna sprawa, by jej prowadzenie powierzyć wyłącznie generałom" — miał powiedzieć kiedyś Clemenceau, i—"Pokój jest zagadnieniem zbyt dużej wagi, by zlecić jego przygotowanie wyłącznie cywilom" — miał zareplikować Foch. . . .

Obie tezy są słuszne, ale jak wyglądają one w świetle stosunków polskich?

ODPOWIEDZIALNOŚĆ POLITYKÓW

Jak np. w świetle tych zagadnień wyglądają niektórzy politycy polscy (choć często są to tylko t.zw. politycy), którzy zagadnięci w sprawach prowadzenia wojny, odpowiadają naiwnie: "ja się na wojsku nie znam." Chciałoby się odpowiedzieć: "Pan w ogóle nie wie o co chodzi. ale dlaczego w takim razie zajmuje się Pan polityką i w ogóle jak Pan śmie przykładać ręki do kierownictwa spraw państwowych, skoro jest Pan takim ignorantem!" Sprawy wojskowe powinny być oddane wojskowym, ale sprawy te nie mogą pozostać bez najwyższej państwowej kontroli, a sprawy wojny natomiast obejmują coś więcej, niż wojsko, i powinny byś odpowiednio do tego traktowane. Cobyśmy powiedzieli np. człowieku, który oddaje dzieci do szkoły i nie wie, jak ta szkoła funkcjonuje, cobyśmy powiedzieli o ojcu rodziny, któryby ubezpieczył się na życie, nie interesując się zupełnie, czy towarzystwo ubezpieczeniowe zasługuje na zaufanie? W sprawach wojny zaś chodzi o coś więcej, niż o własne dzieci i zabezpieczenie majątku czy dochodu, choć i o to również chodzi.

KOMPETENCJE WOJSKA

Wojsko nie może zajmować się prowadzeniem wojny. Zadaniem wojska jest organizować i szkolić oddziały i dowódców oraz prowadzić operacje, ale kiedy, gdzie i w imię jakich ideałów siły zbrojne mają być użyte — to już przekracza zadania wojska. Od tego jest kierownictwo państwa!

W środowisku polskim często można być niezrozumianym. Niniejsza krytyka stosunków przedwojennych i obecnych bierze za punkt wyjścia fakt, że sprawy wojny oddano wojsku. Przez to jednak nie twierdzimy bynajmniej, że wojsko polskie nie spełniło w ogromnej swojej większości swoich zadań wojskowych. Przeciwnie, wojsko spełniło całkowicie i w najwyższym stopniu zadania, do których je przygotowywano, nie spełniło zaś tych, których dla niego nie przewidywano i do których go nie uzbrojono i niezopatrzono. Kiedy zaś wojsko szkolone i uzbrojone do wojny, która już była, a nie wojny, która nadchodziła, stanęło wobec sił i środków przekraczających nasze siły

i środki, — wtedy wypełniło swój obowiązek do końca. Do końca starało się ono zniszczyć wroga, a żołnierze nasi wszystkich stopni umierali w ogniu nieprzyjaciela starając się za wszelką cenę dostać do jego żywej siły ludzkiej.

Praca dziesiątków tysięcy oficerów i podoficerów służby stałej oraz chęci, cnoty wojskowe i patriotyzm ogółu obywateli, powoływanych do powszechnego obowiązku wojskowego, zdziałały bardzo wiele. Wyszliśmy na wojnę mając nie przeciętnie dobre, ale **wspaniałe** kompanie, szwadrony, baterie, dywizjony, pułki i dywizje. Dziś to widzimy jaśniej, niż kiedykolwiek. Dzięki tym wspaniałym oddziałom i ich dowódcom wywarliśmy ogromny wpływ na całość toczącej się wojny, ale to bynajmniej nie zwalnia nas od obowiązku szukania należytych rozwiązań w skali narodu postawionego wobec niebezpieczeństwa współczesnej wojny.

Suum cuique tribuere. Nie zamykamy też oczu, że i w przedwojennym systemie tu i ówdzie stosowano normy instytucjonalne, choć oczywiście pozostające pod naciskiem arbitralności. Oczywiście, kierunek wewnątrz wojska rządzący miał sposoby, by w razie potrzeby umieć wpływać odpowiednio na wynik procedury. Nie mniej jednak byłoby znacznie gorzej, gdyby w ogóle zaniechano w tych sprawach nawet prob obiektywnego ustalenia kwalifikacyj rzeczowych i zdano się wyłącznie na arbitralną ocenę jednostki. To samo dotyczy nominacyj funkcyjnych na szczeblach najwyższych. Klasycznego przykładu dostarczają tutaj stosunki angielskie. Premier Churchill, który jest najwyższym kierownikiem wojennym Wielkiej Brytanii, nie przeprowadził nominacyj w dowództwie Średniego Wschodu i w Ósmej Armii sam, ale zasięgnął najpierw rady szefa Imperialnego Sztabu Generalnego generała Sir Alan Brooka oraz premiera Poł. Afryki marszałka Smutsa, następnie z Egiptu odniósł się telegraficznie do Gabinetu Wojennego w Londynie, ostatecznie zaś w Izbie Gmin złożył sprawozdanie, wymieniając wyraźnie, kogo się radził i w jaki sposób przeprowadził nominacje. Rzecz jasna bowiem, że premier Churchill dokonał nominacyj nie w swoim wojsku, ale w wojsku Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii.

NOWOCZESNY SYSTEM BRYTYJSKI

Nie od rzeczy zresztą będzie dokładniej przyjrzeć się systemowi przygotowania obrony Wielkiej Brytanii i jej Imperium. Znajdujemy się bowiem w kraju sojuszniczym, którego losy są w tej chwili najsilniej związane z wynikami tej wojny. Mamy możność poczynienia tu obserwacyj o bardzo wielkim znaczeniu na teraz i na przyszłość. Łączy nas też z krajem naszego najpierwszego sojusznika pewna bardzo ścisła i podstawowa analogia: oto ani Wielka Brytania ani Polska nie myślały o agresji, i Polska i W. Brytania szukały pokojowego zabezpieczenia swego bytu, kwitnęły pokojem i mogły zniszczeć wojną . . .

Podstawy nowoczesnej myśli obrony Zjednoczonego Królestwa i Imperium założone zostały jeszcze w roku 1904 w t.zw. Komitecie Odtworzenia (of Reconstitution). W 1904 roku tak określono obowiązki Komitetu Obrony Imperium, wtedy powołanego do życia:

"Brytyjskie Imperium jest przede wszystkim potęgą morską, indyjską i kolonialną. Nie mniej jednak nie ma dotąd środków, które by pozwoliły skoordynować problemy obrony jako całości; określić właściwe funkcjonowanie poszczególnych elementów obrony, oraz zapewnić z jednej strony przeprowadzenie przygotowań czasu pokoju wedle jednolitego planu, a z drugiej ustalenie w razie niebezpieczeństwa ostatecznej polityki wojennej, opartej na solidnych podstawach".

Po takim sformułowaniu zadań nowego Komitetu przystąpił on natychmiast do pracy właściwej. Polegała ona przede wszystkim na możliwie najściślejszym określeniu stanu faktycznego głównych problemów dotyczących obrony Imperium. Były to sprawy obrony tej Wyspy przed inwazją, zobowiązania europejskie, obrona Indyj, Egiptu, Kanału Suezkiego, kolonij, komunikacyj morskich. Do tego celu uruchomiono szereg podkomitetów w centrali i lokalnych, które dostarczyły materiału dla ustalenia zasad organizacji obrony Imperium. Stąd też datuje się nowoczesne potwierdzenie starej zasady, iż o bezpieczeństwie Imperium decyduje w każdym wypadku zapewnienie W. Brytanii wolności mórz w czasie pokoju i panowania nad morzami w czasie wojny. Ustalenie z punktu widzenia bezpieczeństwa W. Brytanii zasad jej polityki na kontynencie wywarło wpływ zasadniczy na zawieranie traktatów i porozumień międzynarodowych. I odwrotnie istnienie traktatu o neutralności Belgii posłużyło za punkt wyjścia do przemyślenia pewnych problemów wojennych. Tak zresztą traktat o neutralności Belgii, jak i przymierze z Polską równo w sto lat później, przekraczały aktualne możliwości militarne W. Brytanii, przyjmowano jednak ryzyko świadomie ze względu na interesy brytyjskie w dalekiej perspektywie.

Kolejny rozwój Komitetu Obrony Imperium przejawił się w stworzeniu Komitetu Szefów Sztabów wszystkich rodzajów Sił Zbrojnych. Temu Komitetowi dodano do pomocy organy własne: Wspólny Komitet Planowania i Wspólny Komitet Wywiadu (może lepiej w tym wypadku przetłumaczyć "Inteligence" jako "zbieranie wiadomości"?). Jest rzeczą specjalnie ciekawą, że dla osiągnięcia jak największej wydajności pracy Komitetu Szefów Sztabów już przed wojną w skład obu wymienionych organów, a już specjalnie Komitetu Wywiadu, wchodzili członkowie **wszystkich departamentów państwowych,** których zakres wiadomości mógł być Komitetowi potrzebny i pożyteczny. Na szczególne też podkreślenie zasługuje sposób, w jaki szkolono członków Komitetu Planowania i Komitetu Wywiadu. I oficerowie i urzędnicy cywilni, wchodzący w skład tych Komitetów, przechodzili **wspólnie** studia specjalne w **Imperial Defence College.** Pracowano w tym **College** teoretycznie i praktycznie, przyczem praca dotyczyła oczywiście zagadnień wojny, strategii i działań organizacyjnych praktycznych. Po zaprojektowaniu planów przez Komitet Planowania, zatwierdzeniu ich przez Komitet Szefów Sztabów i przyjęciu przez Gabinet, przekazywano je do wykonania bądź zainteresowanym organom kolonialnym, bądź właściwym organom centralnym (jednemu z trzech ministerstw lub jednemu z trzech sztabów odpowiedniego rodzaju Siły Zbrojnej). W ten sposób starano się przygotować **wszystkie możliwe hipotezy** zagrożenia Imperium. Na takich podstawach wyrosła nowa metodyczna organizacja, która zapewniła Imperium Brytyjskiemu pełne planowanie przedwojenne i związane z tym przygotowanie środków dla realizacji planów. (Ponieważ w Polsce nie było organizacji opartej na podobnych podstawach, nie mieliśmy przede wszystkim planu głównego i wszystko robiono bez tego planu. Nie zamierzamy poruszać zagadnienia, jak u nas jest obecnie . . .)

W czasie wojny nastąpiło dalsza ewolucja organizacji planowania wojny w W. Brytanii. Najdonioślejszą zmianą było wprowadzenie Premiera, i Ministra Obrony zarazem, jako przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabów. Uzupełniono też ten Komitet podkomitetem Zastępców Szefów Sztabów, wydzielając mu szereg kompetencyj. Komitet Planowania przemieniono na Sztab Planowania, pracujący już wspólnie, oddając do jego kompetencyj przygotowanie operacyj z punktu widzenia strategicznego oraz organizowanie środków wykonawczych. W związku z niepowodzeniami poddano ten system pewnej krytyce. Głównymi jej punktami było przeciążenie pracą w tylu funkcjach Premiera i Ministra Obrony oraz domaganie się utworzenia na miejsce Komitetu Szefów Sztabów

jednolitego Sztabu, który by pod jednym organizacyjnie kierownictwem łączył wszystkie trzy rodzaje Sił Zbrojnych. Na skutek krytyk wprowadzono stanowisko stałego Przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabów, które piastuje Szef Sztabu Imperialnego, t.zn. Lądowych Wojsk Imperium. Nad Komitetem Szefów Sztabów jest Premier (zarazem Minister Obrony), który jednakże działa w ramach Gabinetu Wojennego, a więc jakgdyby ściślejszego i wyłącznie sprawom wojny poświęcającego się Rządu. Najwyższym bowiem organem prowadzącym wojnę z ramienia narodu Wielkiej Brytanii jest właśnie Gabinet Wojenny, a Szefowie Sztabów są technicznymi doradcami Gabinetu Wojennego. Biała Księga traktująca o prowadzeniu wojny i opublikowana w kwietniu 1942 wyraźnie mówi: "The ultimate responsibility for the conduct of the war rests with the War Cabinet, the Chiefs of Staff being their professional advisers".

Nie będziemy wchodzili w ocenę wartości tego systemu pracy, który przyjął najpierwszy nasz sojusznik. Podkreślimy tylko, że w tej uwagi godnej organizacji państwowej nie byłoby możliwe załatwianie tych spraw **bez systemu.** Chodzi nam o wykazanie, że organizacja przygotowania planów wojny i organizacja prowadzenia wojny była i jest prowadzona w W. Brytanii z maksymalną rzeczowością. Całość w ten sposób postawionej pracy planowania i wykonawczej wypływa z racji stanu brytyjskiej, określonej przez Radę Ministrów i Gabinet Wojenny oraz z ustalonych przez te same ciała zasad strategii, jakimi ma się kierować Komitet Szefów Sztabów. W dalszym ciągu potwierdzono w czasie tej wojny zasadę panowania nad morzami, jako podstawową dla osiągnięcia zwycięstwa. Ewoluowało jedynie użycie środków do tego celu, na skutek czego oddano do dyspozycji Admiralicji odpowiednie środki lotnicze, Ustalono również drugą zasadę wielkiej strategii brytyjskiej, iż czynnikiem decydującym w tej wojnie jest lotnictwo. Na tych dwu podstawowych zasadach wielkiej strategii oparta jest cała konstrukcja polityki wojennej brytyjskiej.

Organizację brytyjską przygotowania i prowadzenia wojny szkicujemy tu dla przykładu i porównania. Jeśli system brytyjski nie dał jeszcze lepszych wyników, przypisać to należy głównie temu, że naród myślący kategoriami indywidualnego szczęścia jednostki nie mógł z natury rzeczy dorównać w przygotowaniu wojny narodowi, który dla agresji uruchomił wszystkie swoje środki moralne i materialne. **Wyniki systemu brytyjskiego należy mierzyć nie tym, co się stało, lecz tym, co się mogło stać, gdyby systemu nie było.** Wszyscy uważni i myślący obserwatorzy zrozumieją napewno na tle rzeczywistości, jak olbrzymie są osiągnięcia brytyjskie i jak mądrze zostały one w granicach możliwości przygotowane. Tuż po wojnie dowiemy się np. bez wątpienia, jakim pracom badawczym i organizacyjnym i od ilu lat przed wojną prowadzonym zawdzięczamy przygotowanie brytyjskiego lotnictwa do pierwszego zatrzymania pochodu niemieckiego.

* * *

Zagadnienia wojny przedstawiają tę wagę dla każdego Polaka, iż można być pewnym, że każdy będzie chciał je zrozumieć. Naszym dążeniem jest, by z błędów wyciągnąć te wszystkie wnioski, które by nam zapewniły odzyskanie niepodległości a naszym dzieciom pokojny byt. Tych spraw każdy godny tego miana naród nie może zdać na fale arbitralności, dowolności czy wpływów przypadkowych. Te sprawy muszą już być **organicznie** tak postawione, by ograniczyć możliwość błędu, przypadłości ludzkich i wpływów niepożądanych. Konstrukcja urządzeń Obrony Państwa ma służyć swoim własnym wyłącznie celom.

Oczywiście takie postawienie sprawy możliwe jest tylko w systemie rządzenia, który nie opiera się na *gierkach*, choćby stosowanych na skalę państwową, i w którym nie jest ani pustym dźwiękiem ani cynicznym szyldem zawołanie przekazane nam przez przeszłość:

SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX.

E. Wolny

CO SIĘ DZIEJE Z RODAKAMI W SOWIETACH?

ROZGRYWAJĄCE się na froncie wschodnim walki skupiają uwagę całego świata. My, Polacy, zdajemy sobie może lepiej od innych narodów sprawę z ważności ich wyniku. Prócz zainteresowania w wygraniu wojny, które od przebiegu tych walk zależy, są liczne inne przyczyny, które przykuwają naszą uwagę. Wydarzenia na froncie mają swoje konsekwencje na dalekich tyłach. Z konferencji prasowej Wendella Willki'ego dowiadujemy się nie tylko o zaciętości żołnierza sowieckiego, którą znamy, — ale też o niedostatku, braku środków żywności, opału, które będą udziałem ludności sowieckiego państwa w nadchodzącej zimie.

W ciężkiej tej sytuacji odpowiedzialni kierownicy Związku Sowieckiego niewątpliwie przystąpią do zaspakajania potrzeb z uwzględnieniem hierarchii ich ważności. Potrzeby wojska, pracowników, warsztatów wytwórczych, obsług transportów, znajdą zaspokojenie. Złączone z przeprowadzeniem takiego planu ofiary poniesie ludność, niezwiązana bezpośrednio z oddziaływaniem na przebieg wypadków wojennych. Taka będzie sytuacja walczącego o przetrwanie zimy Związku Sowieckiego.

Wśród ludności, której udziałem będzie ponosić ofiary głodu i chłodu, znajdą się też setki tysięcy Polaków, przed którymi zamknęły się wrota wiodące na wolność — do Persji, lub przez dalekie morza do Wielkiej Brytanii. Dziwna zapanowała cisza o losie tych Polaków, a nawet o ich istnieniu. W londyńskich kołach oficjalnych głucho o jakiejkolwiek dla nich pomocy, na którą tu wszyscy niemal Polacy się składają, a w znaczniejszej mierze Polacy w Ameryce. Pojawiły się natomiast wiadomości o trudnościach w dostarczaniu darów z pomocy amerykańskiej i rządowej, której od wiosny 1942 roku już nie dopuszczano.

Kontrastują z tym milczeniem liczne i głośne wiadomości o wypuszczonych z Z.S.S.R., którzy w liczbie około 130.000

przybyli do Persji. Wywołują one wrażenie, że zamierza się nimi zastąpić brak wiadomości o setkach tysięcy tych, których istnienie pokrywa oficjalne milczenie.

Czy wolno nam o nich zapomnieć? Czy wolno nam nie domagać się odpowiedzi na dręczące pytanie, dlaczego tylko znakomita mniejszość znalazła się w warunkach, które pozwalają na uratowanie jej dla Polski? Czy przestrzeń daleka potrafi rozluźnić więzy moralne, które łączą z nimi każdego z nas? Nic nie może osłabić naszego obowiązku dołożenia starań, by ich uratować Polsce, rodzinie, blizkim. Czy nie dosyć ofiar pochłania niemiecki moloch okupacyjny, byśmy mieli pozwalać sobie na luksus poświęcenia już dodatkowych dziesiątek tysięcy istnień ludzkich oprócz tych, którzy na zawsze pozostali w bezkresnych ziemiach Sowieckiego Związku?

Nie! Postąpiliby obłudnie i zadaliby kłam zasadom moralnym, o których uszanowanie ta wojna się toczy, a których podeptanie ją wywołało, ci wszyscy, którzy dla "postępu" rozwoju stosunków z tym lub owym rządem chcieliby dyplomatycznym milczeniem pokryć krzywdę tych zapomnianych wysiedleńców.

Może ktoś zechce zarzucić takiemu ujęciu zbytni sentymentalizm i powiedzieć, że dla osiągnięcia wyższych celów ponieść należy nawet bolesne straty. Choć nie potrafimy dojrzeć tych wyższych celów, rozpatrzymy i ten aspekt. Żaden fakt, przeciwny naturalnemu biegowi rzeczy nie pozostaje bez wpływu i bez dalszego skutku ujemnego. Obowiązkiem naturalnym sojuszników jest niesienie sobie wzajemnie pomocy, niedopuszczenie do osłabiania się wzajemnego.

Pozostawienie czy zatrzymanie setek tysięcy obywateli państwa sojuszniczego w takich ogólnych warunkach bytowania, które bez względu na ustosunkowanie się do nich muszą spowodować poważne ujemne następstwa w postaci zachorzeń i dużej śmiertelności, jest faktem sprzecznym z naturalnym biegiem rzeczy. Powstaje paradoksalna sytuacja osłabiania sojusznika i jego zdolności do walki ze wspólnym wrogiem. Sytuacja taka kryje w sobie niebezpieczeństwo podważenia zasady zaufania, która, obok wspólności interesów, leży u podstaw każdego sojuszu, — i pozwala wątpić w szczerość sojusznika. Nadto z biegiem czasu może oddziałać ujemnie na napięcie woli, koniecznej do stałej walki ze wspólnym wrogiem. Naród polski, choć w swej masie pozbawiony wolności fizycznej, zachował dotąd wolność ducha, wyrażającą się przez cały czas trwania wojny w zdecydowanej walce z Niemcami. Ciągłe trwanie i realizowanie walki z Niemcami wymaga takiego napięcia woli, że w interesie wszystkich sojuszników leży usuwanie zdarzeń, zdolnych wywołać osłabienie tego stanu. Czym jest rozterka duchowa narodu, obrazuje rozbicie jedności narodu francuskiego, który choć tyle ma dzielnych jednostek, popadł w bezwład wywołany różną reakcją na posunięcia okupanta, czy też byłego sojusznika.

Odcięcie od pomocy setek tysięcy Polaków wywiezionych w głąb Rosji, których zwolnienia nie zdołano uzyskać dotąd mimo półtora rocznego blisko obowiązywania układu polsko-sowieckiego, uważamy za fakt niszczący podstawy wojennej morale narodu polskiego, co może zachwiać gotowość do poświęceń w walce z okupantem, a w przyszłości pozostawić osad doznanej krzywdy, tym boleśniejszej że zadanej w warunkach, w których każdy miałby dobre prawo oczekiwać ułatwień fizycznych i podpory duchowej.

Dlatego podnosimy głos nasz nietylko jako głos zbiorowego sumienia narodu polskiego, ale jako głos protestu poparty rozumowymi przesłankami. Czy nie było sposobów w przeszłości i czy nie ma obecnie środków zaradzenia temu złu? Odpowiedź daje charakter układu polsko-sowieckiego, którego ujemne strony obecnie i w punkcie pomocy Polakom w Sowietach się uwydatniają.

Stronnictwo Narodowe walczyło z obecną postacią i brzmieniem układu z 30. lipca 1941 r. ponieważ ani interesów polskich nie zabezpieczał, ani Sowietom nie mógł dać nadziei na dobre sąsiedztwo. Przewidując, z nieokreśloności postanowień i niedomówień płynące, zgubne dla obu stron, następstwa, S. N. spotkało się za swą przewidującą politykę z zarzutem utrudniania ratunku Polaków wywiezionych w głąb Rosji. Czyje stanowisko życie potwierdziło, dziś nie trudno stwierdzić. Wówczas jednak wzięła górę koncepcja czynnika posiadającego aktualnie w układzie polskich stosunków pozycję formalnie silniejszą. Za tę koncepcję cały rząd ponosi odpowiedzialność. Sztucznym optymizmem pokrywano braki. Argumentowano, że cele polityczne —
musiały ustąpić za cenę uzyskania możności niesienia pomocy wysiedlonym i ratowania zagrożonych. Nie zapewniono sobie jednak sposobów i środków działania. Zadowolono się niedostatecznym ledwie poruszeniem zagadnienia. Przyjęto przyrzeczoną "amnestię" dla pozbawionych wolności Polaków.

Główny rzecznik zawarcia układu z takimi brakami, prof. Kot zaofiarował się głównemu autorowi takiego układu, premierowi Sikorskiemu na Ambasadora. Przed wyjazdem objaśniał, że nie tyle ważnym jest brzmienie układu, co jego wykonanie. Podjął się więc tego obowiązku. Środków stosownie do możliwości działania miał dosyć. Jednak nabyte z pomocy P.C.K., ze zbiórek i darów amerykańskich środki żywności, lecznicze i odzież w coraz większej ilości zapełniać zaczęły składy — w Teheranie i w Londynie. Ale — jak napisał p. Szczyrek. . . . "z takim rozmachem akcja prowadzona napotkała na przeszkody."

Skoro więc w układzie nie potrafiono zapewnić sobie odpowiedniejszych warunków niesienia pomocy, oczekiwano powszechnie akcji ze strony urzędu, przywróconego układem polsko-sowieckim do mocy przez prawo międzynarodowe dla Ambasad przewidzianej. Głowa Ambasady, jedyna osoba z tytułu swego urzędu posiadająca dostęp do interwencji u naczelnych władz sowieckich, jednak nie interweniuje, — bo przestaje pełnić funkcje Ambasadora, t.j. kierownika naczelnej instytucji opieki nad wysiedlonymi Polakami w Z.S.S.R. W najtrudniejszej dla wysiedleńców chwili Ambasador R. P. przy Rządzie Sowieckim i członek Gabinetu Rządu Sikorskiego prof. Kot opuszcza teren sowiecki jakoby z powodu choroby. Nie ma więc tam, przez okres najkrytyczniejszy, kiedy przed nastaniem zimy dałoby się dużo jeszcze dla uodpornienia zagrożonych mrozem i głodem wysiedlonych Polaków uzyskać, — nikogo odpowiedniego, ktoby literę układu, skoro już nie treść jego, w imieniu Polski realizował. Nic więc dziwnego, że wobec braku odpowiedniej wagi i znaczenia człowieka w polskiej Ambasadzie w Kujbyszewie, nie wykorzystano dla wyjaśnienia tych trudności pobytu premiera Churchilla w Moskwie. Nie wydaje nam się, by ten wypróbowany przyjaciel Polski, a zarazem decydujący o organizowaniu pomocy dla Związku Sowieckiego Szef Rządu Brytyjskiego nie był zainteresowany w usunięciu ewentualnych trudności polsko — sowieckich i nie mógł był wpłynąć korzystnie na ich rozwiązania. Ale Ambasador R. P. w tym czasie nie czuwał nad sprawami polskimi na terenie Związku Sowieckiego, lecz w Teheranie (wedle fotografii w "Polsce Walczącej" z 26 września 1942) wizytował oddziały przybyłe z Sowietów. Uważamy, że Ambasador R. P. w Z.S.S.R. miałby tam ważniejsze pole działania, poważniejsze obowiązki do spełnienia, a wizytowanie przybyłych na terytorium Persji należałoby pozostawić Posłowi w Teheranie. Nie możemy więc uznać powodu opuszczenia przez Ambasadora Kota placówki w Sowietach za dostatecznie ważki.

Stwierdzamy, że cały Rząd za ten krok członka Gabinetu jest odpowiedzialny i za skutki przegrania etapu polityki stosunków polsko — sowieckich. Nie pomogą deklamacje radiowe, zapewniające, że ci, którzy wydostali się z Sowietów zawdzięczają życie aktorom układu. Jeżeli tak jest, to aktorzy układu również odpowiedzialność ponoszą za śmierć tych, którzy po zawarciu układu w Z.S.S.R. pomarli. Dysproporcje istniejące między głoszonym frazesem, a rzeczywistością są już nietyle natury politycznej, ile moralnej. Czy nie z punktu widzenia moralnego należy osądzić postąpienie innego członka Gabinetu, uważającego za cel swego życia pozostawanie ministrem przez jak najdłuższy czas, a zapewniającego wbrew prawdzie Polaków w Kraju, że błędy układu były, ale "zostały usunięte"?

Kto ponosi winę za rozegranie rozwoju stosunków polsko — sowieckich niekorzystnie dla strony polskiej, wynika jasno z historji tych 16 miesięcy. Przyszłość osądzi surowo zaniedbania tego okresu i tych, którzy je zawinili. Na dziś domagamy się odpowiedzi: co dzieje się z pozostawionymi w Sowietach Polakami?

E. Wolny

NOTY I UWAGI

GŁOS Z KONTYNENTU

Na uwagę i przemyślenie zasługuje mowa Sir Samuela Hoare'a, ambasadora Wielkiej Brytanii w Madrycie, który bawi obecnie na urlopie w tym kraju. Mowę tę wygłosił Sir Samuel Hoare w swoim okręgu parlamentarnym w Chelsea, gdyż Sir Samuel zachował mandat parlamentarny pomimo misji zagranicznej. Mowa Ambasadora brytyjskiego w Madrycie tym bardziej zasługuje na uwagę, iż jest to ambasador, którego misja się powiodła. W roku 1940 nie było wiadomo, czy Hiszpania nie wystąpi czynnie po stronie Osi. Wtedy wysłano do Madrytu Sir Samuela Hoare.

W mowie swojej w Chelsea w dniu 18 września 1942 Sir Samuel oświadczył, iż należy dążyć nie tylko do wygrania wojny, ale do wygrania jej szybko, żeby nie dopuścić do zniszczenia przez Niemców struktury (framework) cywilizacyjnej na Kontynencie. Twierdzenie to postawił Sir Samuel w swoim charakterze obserwatora tego, co się na Kontynencie dzieje. Jako zaś były czterokrotny Minister Lotnictwa oświadczył Sir Samuel, że do lotnictwa i to użytego w sposób jaknajbardziej skoncentrowany przywiązuje największą wagę. Przestrzegał więc przed rozpraszaniem sił lotniczych brytyjskich, domagał się szybkości w działaniu i koncentracji w użyciu siły.

Jego kontynentalni informatorzy obawiali się najbardziej nie tylko głodu, który już szaleje w Europie, lecz i anarchii i chaosu, które mogłyby pogrążyć już zupełnie Kontynent nawet po załamaniu się potęgi niemieckiej. Sir Samuel zapewniał swoich kontynentalnych rozmowców, że mocarstwa anglosaskie trzymają w pogotowiu i zapasy żywności i przewidują garnizony dla opanowania ewentualnej anarchii. Nie wystarczało to jego rozmówcom:

"Mówiono mi często — oświadczył Sir Samuel — i to ze strony nie tylko Hiszpanów i Portugalczyków, lecz osób przybyłych z większości krajów Kontynentu, iż zwycięstwo Aliantów oznaczać będzie usiłowania anglo-amerykańskie narzucenia innym krajom szczególnego typu rządów. Tu znowu Karta Atlantycka powinna dostarczyć odpowiedzi na ten zarzut, a w wypadku Hiszpanii jasne oświadczenie Premiera, iż nie pragniemy ani nie zamierzamy interweniować w sprawy wewnętrzne owego kraju powinno było już usunąć ostatecznie wszelkie uzasadnione wątpliwości. Głęboko zakorzenione podejrzenia jednakże jeszcze istnieją. Niemcy szybko starali się je wyzyskać. . . . Ze swojej strony więc powinniśmy przejawiać szczególną troskę, aby uniknąć w słowach i czynach wszystkiego, coby mogło sugerować ingerencję, a tym bardziej dyktat w wewnętrznych sprawach innych krajów."

Sir Samuel Hoare zakończył swoje przemówienie stwierdzeniem, iż nowa Europa powinna się odznaczać wielością struktury, lecz jednością celów, oraz powinna opierać się na rozumnym zachowaniu narodowych tradycyj. Mowca nawoływał do odtwarzania moralnej jedności Europy . . . .

W związku z tym wydaje się nam, że uwaga *The Times* w artykule o zdradzie przez Hitlera ideałów narodowych, cytowanym przez nas na innym miejscu niniejszego numeru "M.P.", iż przyszłe społeczeństwa europejskie nie mogą być oparte na zasadzie suwerenności narodowej, polega na zasadniczym nieporozumieniu. Nie suwerenności narodowe, ale tryumf materializmu wewnątrz kilku największych narodów współczesnej Europy jest największą bolączką naszych czasów. Jedność Europy nie może być przywrócona przez usunięcie suwerenności narodowych, lecz przez powrót do podstawowych zasad chrześcijańskiej cywilizacji europejskiej.

SPRAWA "DRUGIEGO FRONTU"

Sprawa ofenzywy Sprzymierzonych na Kontynent europejski znowu stała się przedmiotem publicznej dyskusji. Za uruchomieniem ofenzywy w tym roku oświadczył się w Moskwie Wendell Willkie, który w najwidoczniejszy sposób został poruszony i wzruszony warunkami, w jakich żyje dotknięta wojną ludność Związku Sowieckiego. Natomiast w Ottawie jeden z faktycznych wicepremierów Brytyjskiego Rządu, min. Attlee, wystąpił przeciw nieodpowiedzialnej agitacji w tej delikatnej dziedzinie. Również przeciw "gadaninie o drugim froncie" wystąpił wpływowy redaktor dyplomatyczny "*Chicago Daily News*" p. Carrol Binder, który świeżo powrócił z W. Brytanii. Oświadczył on, że najbardziej tu gorliwi amerykańscy i brytyjscy komuniści myślą, że pomagają w ten sposób Sowietom, z tymczasem stają się tylko nieświadomymi ajentami Hitlera. Oświadczenie to zbiega się w czasie z opublikowanymi przez "*The Daily Telegraph*" doniesieniami ze Szwajcarii, iż prasa niemiecka tłumaczy teraz, że w interesie Wielkiej Brytanii jest, "żeby tylu Niemców i bolszewików pozabijało się nawzajem, ile tylko jest możliwe." Oczywiście jest to nowe posunięcie propagandy niemieckiej, by zasiać nieufność między sprzymierzonymi mocarstwami. Pomoc materiałowa W. Brytanii i Ameryki Sowietom wpłynęła już znakomicie na siłę sowieckiego oporu. Są też pewne oznaki wskazujące, że względna słabość niemieckich uderzeń na wschodzie wywołana została przesunięciem pewnych oddziałów niemieckich do Europy Zachodniej . . . .

Przeczytajmy tymczasem, co o tej sprawie pisze "*Tribune*," pismo lewicowe występujące stale za natychmiastowym "drugim frontem."

"Jedna z największych politycznych sensacyj tej wojny zdarzyła się w ostatnim tygodniu. Dotknęła ona ludności tego kraju więcej, niż jakiego kolwiek innego. Była to autorytatywna wiadomość o tym, co myśli Rząd Sowiecki. Doszła ona do Ameryki, gdzie spowodowała duże poruszenie. Doszła do dr. Goebbelsa, który użył jej dla swoich własnych celów, lecz nie udało się jej dojść do ludności najbardziej dotkniętej — Ministerstwo Informacji oraz Lordowie prasowi postarali się o to. Oto ta historia.

We wtorek (*Tribune* nosi datę piątku 25 września 1942) ubiegłego tygodnia amerykańscy korespondenci przekablowali następujące sprawozdanie z rozmowy, którą uzyskali z czynnikiem określanym w takich wypadkach w kołach dyplomatycznych jako "wysoko umieszczone źródło zagraniczne." Dano im fakty tak, jak je widzi Rząd Sowiecki. Oto co im powiedziano.

Rosja obawia się, że potencjał ofenzywny Czerwonej Armii obniżony zostanie do niebezpiecznego minimum, jeżeli nie powstanie w najbliższej przyszłości drugi front w Europie w skali wystarczającej do zmuszenia Hitlera do wycofania trzydziestu lub czterdziestu dywizyj ze wschodniego frontu. Czynniki rosyjskie autorytatywne ciągle jeszcze są zdania, że drugi front musi powstać przed 1943 rokiem, jeżeli wojna europejska ma być wygrana w przyszłości dającej się określić. Moskiewska konferencja między Churchillem, Stalinem i Harrimanem nie doprowadziła do uzgodnienia na tym punkcie i nie zaproponowano takiej alternatywy, ani ze strony Churchilla ani Harrimana, któraby była uważana za zadowalającą przez Stalina. Rząd Sowiecki — a co więcej, lud sowiecki — jest wprost zawiedziony przez to, co wydaje się być niechęcią anglo-amerykańską do najechania Europy już teraz. Zawód okazał się tym bardziej silny, skoro okazało się, iż przed konferencją Moskwie pozwolono wyrobić sobie wrażenie, że Amerykanie nastrojeni są bardziej zaczepnie, niż Brytyjczycy.

W rozmowach moskiewskich Harriman popierał Churchilla, a przywódcy sowieccy sądzą, że fundamenty pod rozmowę w Moskwie założone zostały w rozmowach londyńskich, prowadzonych przez gen. Marshalla, Hopkinsa, Churchilla oraz Szefów Sztabów w lipcu.

Obecna sytuacja Czerwonych Armij jako całości jest krytyczna i zagrożona jest przez niebezpieczny rozdział tych armij, gdyby Stalingrad padł. Wobec tego przywódcy sowieccy są zdania, iż skuteczna dywersja, taka jaką obiecali byli w ub. maju Mołotowowi Brytyjczycy i Amerykanie, stała się rzeczywiście nakazem chwili. Zdają oni sobie sprawę z wielkich trudności zmontowania pełnej

ofenzywy w Europie Zachodniej, lecz czują, że trudności te muszą być przezwyciężone. Wedle ich zdania trudności te nie są nie do przezwyciężenia, jeżeli tylko znajdzie się potrzebna determinacja i pewien zasób zręczności w przeprowadzeniu projektu."

Dla informacji czytelnika polskiego dodamy, iż *Tribune* odznacza się zawsze skrajnymi poglądami.

WIEŚCI Z KRAJU

Los i przemoc wroga nie szczędzą Rodakom w Kraju żadnej udręki i żadnego doświadczenia. Do najbardziej gorżkich katuszy należą chyba zadawane przez litewskich quislingów, o których wiadomości ostatnio doszły do Londynu. Mieliśmy swoje zwady z Litwinami, ale takich rzeczy między nami nie było. Nie dawno jeden z przedstawicieli Litwinów zagranicą na łamach polskiego tygodnika w Londynie wysuwał litewskie pretensje do Wilna. Swiadczy to tylko o polskim zmyśle tolerancji, który czasami posuwa się zbyt daleko. Nie może być jednak mowy o tolerancji quislingów litewskich czy ukraińskich po powstaniu Polski Niepodległej. Im większa musi być ostrożność polska, żeby nie ukrzywdzić żadnego Litwina, czy Rusina czy Ukraińca, którzy nie naruszyli praw boskich i ludzkich w traktowaniu nieszczęsnej ludności polskiej, tym większa musi być surowość i bezwzględność wobec tych, których wina okaże się niewątpliwa.

Wiemy, że Litwini są narodem katolickim i że mają swoją katolicką Hierarchię Kościelną. Czy nie jest możliwe działanie przez naszego Ambasadora przy Watykanie w kierunku opamiętania quislingów litewskich przez najbardziej autorytatywnych przywódców duchownych społeczeństwa litewskiego?

WIEŚCI Z LONDYNU

Gdyby nie prasa angielska, nie zawsze bylibyśmy poinformowani publicznie o tym, co się dzieje w londyńskich kołach polskich. Jest to duża zaleta demokracji angielskiej w porównaniu z t.zw. demokracją polską. Demokracja musi być informowana, inaczej staje się oligarchią.

Więc dwa wielkie londyńskie dzienniki popołudniowe poświęciły dużo miejsca pewnemu przyjęciu, które miało miejsce w nowych apartamentach polskiego Prezydium Rady Ministrów, w pałacu przy ulicy Kensington Palace Gardens 18, w dniu 17 września 1942.

"*The Evening News,*" dał swoim notatkom dwa tytuły: "Błyszczące uniformy" oraz "Styl ściśle surowy" (Strict austerity). Czytamy tam:

"Rzadko kiedy widziałem tyle barwnych dekoracyj na zebraniu w Londynie, co na przyjęciu wydanym przez generała Sikorskiego, polskiego premiera. Eleganccy (smart) angielscy generałowie byli zwykłymi kopciuszkami pośród mundurów Narodów Zjednoczonych.

Było to naprawdę domowe, ciepłe przyjęcie wydane ze względu na nowe pomieszczenia biurowe, które dał generałowi Sikorskiemu na czas wojny Lord Nathaniel Rotshild. Jest to ten sam dom przy Kensington Palace Gardens, w którym rodzina Rotshildów ufundowała swoje ogromne bogactwa w czasie Bitwy pod Waterloo, kiedy oni spekulowali na skrachowanie innego europejskiego tyrana.

Przyjaźń między Generałem i Rotshildami datuje się od dawna; był on zaufanym przyjacielem wiedeńskiej gałęzi tej rodziny (The friendship between General Sikorski and Rotshilds is of long standing; he was an intimate friend of the Viennese branch of that family).

Pomimo splendoru i obecności wielu znakomitych osób nie można było otrzymać polskiej wódki ani "zakuski" (no Polish brandy or "zakuski" were obtainable); panował styl ścisłej surowości.

Zauważyłem, że Profesor Gerbrandy, premier holenderski, i.p. Masaryk, czeski wicepremier, pili nawzajem zdrowie napojami bezalkoholowymi."

"*Evening Standard*" poświęcił temu przyjęciu również bystrą wzmiankę p.t. "W Alei Milionerów" (In Milionaires' Row). Oto jej tłumaczenie:

"Generał Sikorski w swoim charakterze premiera nabył dom przy Kensington Palace Gardens (Aleja Milionerów), który należał do Lionela Rotshilda. Ma to być polski Numer 10 (aluzja do Downing Street 10 — przyp. M.P.) i tu mają się odbywać zebrania Gabinetu. Generał Sikorski ma swoje biuro w pokoju wychodzącym na ogród. Ma on tam także sypialnię. Sprawy wojskowe nie będą tu załatwiane.

Wczoraj wieczorem odbywało się tam ciepłe domowe przyjęcie. Obecni byli Lord Simon, Sir John Anderson, Lord Cranborn, Mr. Dalton oraz premierowie i generałowie Sprzymierzonych. Był tam skromny bufet — herbata, jabłecznik, sandwicze. Jednym z gości był p. Bogomołow, ambasador sowiecki przy rządach Sprzymierzonych. Mieszka on drzwi w drzwi z p. Majskim i musi tylko przekroczyć jezdnię od siebie do siedziby gen. Sikorskiego."

Ani wiadomość o przeniesieniu biur Prezydium Rady Ministrów ze Stratonu do pałacu Rotshildów przy Alei Milionerów, ani też wiadomość o tak licznym przyjęciu u generała Sikorskiego w dniu 17 września nie zostały podane w urzędowym "Dzienniku Polskim." Nie wiadomo dlaczego. . . . Szczegóły podane przez popularne dzienniki angielskie o tyle tylko są nieścisłe, że ani Rotshild nie "dał" domu gen. Sikorskiemu, ani gen. Sikorski domu nie "nabył." Po prostu Rząd Polski za pieniądze budżetowe wynajął od Rotshildów pałacyk przy tak zw. londyńskiej Alei Milionerów w najbardziej eleganckiej dzielnicy miasta.

Mówimy szczerze i otwarcie. Nie podoba się nam to. Nie wiemy, czy prawdą jest, że

Właściwie i to powinno być ogłoszone, bo jest to rzecz ważna, choć nawet nie najważniejsza. Ważniejsze jest, że nie jest w polskim stylu mieć pałacyk dla premiera przy Alei Milionerów w czasie tej wojny. Tradycja rodziny Rotshildów też nie ma nic wspólnego z tradycją polską . . . .

Jeszcze gorszą jest rzeczą, iż przyjęcie urządzono w dniu 17 września, t.j. w rocznicę wkroczenia wojsk sowieckich do Polski. Nie ukrywajmy, bo nie mamy się czego wstydzić; *jest to data ostatniego rozbioru Polski.* Wszyscy Polacy radziby, żeby Goście cudzoziemscy bez żadnego wyjątku czuli się jak najlepiej na przyjęciu u polskiego Premiera, te przyjęcia jednak nie mogą się odbywać w dniu 17 września.

To co się stało w dniu 17 września 1942 jest czymś jeszcze gorszym, niż nieurządzenie nabożeństwa katolickiego w Dniu Niepodległości 11 listopada 1941 i udanie się polskich ministrów z tej okazji jedynie na nabożeństwo wyznania mojżeszowego . . . do londyńskiej synagogi.

Smutne, bardzo smutne i wymaga zastanowienia się wszystkich Polaków.

DWA ŚWIATY.

Minister z ramienia P.P.S. w rządzie generała Sikorskiego, p. Jan Stańczyk, zaprotestował na łamach "*Polski Walczącej*" przeciw określaniu w tymże piśmie, w artykule prof. Grabskiego, zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej 15 sierpnia 1920 — Cudem nad Wisłą. Oto mądrości p. Stańczyka:

"Czas skończyć z legendą o cudzie, przyniosła ona Polsce nieobliczalne szkody. Nazywanie zwycięstwa nad Wisłą — cudem pomniejsza wkład narodu do tego zdarzenia. Pomniejszenie tego wkładu miało skutki fatalne w kształtowaniu odpowiedzialności narodu za historię. Tragicznym przykładem są ostatnie lata przed wojną. Tragiczną zapłatą za wiarę w cuda Rydza Śmigłego obecne męczeństwa Polski".

Możnaby wiele wysnuć z tych nieprawdopodobnych wywodów aktualnego dygnitarza. Więcej p. Stańczyk odpowiedzialny jest za Rydza Śmigłego, niż naród i wiara w cuda. P. Stańczyk organizował przecież razem z Kostkiem Biernackim zasadzki na wojsko polskie w Krakowie w roku 1923, a w roku 1926 pomagał razem z całą P.P.S. instalować dyktaturę, której spadkobiercą był Śmigły -Rydz.

Ale chcemy tu zwrócić uwagę na inny aspekt sprawy. Oto w rocznicę (15 września) Bitwy o Wielką Brytanię przemawiał w Londynie dowódca wojsk lotniczych, które odparły wroga: Marszałek Sir Hugh Dowding, ówczesny dowódca jednostek myśliwskich Królewskich Sił Powietrznych, znany jako "człowiek, który wygrał Bitwę o Wielką Brytanię". Oto co powiedział ten znakomity wojownik w zakończeniu swojego przemówienia:

"Wielka Brytania nie była za dumna, by zorganizować narodowe dnie modlitwy i nie powinna być za dumna, by uznać wyniki tych modłów.

"Mam to głębokie przekonanie osobiste o Boskiej interwencji w tej wojnie, którą inaczej przegralibyśmy już dawno".

Oto różnica między żołnierzem, a agitatorem materializmu. Kto stanął razem z innymi twarzą w twarz z śmiercią, ten nie będzie się nigdy starał odebrać wiarę komukolwiek, a zwłaszcza żołnierzowi, marynarzowi, lotnikowi. Choćby sam nie wierzył . . . Na to jednak trzeba być kimś więcej, niż jest p. Stańczyk. Naród polski teraz zaś bardziej niż kiedykolwiek szuka oparcia i pociechy u Opatrzności Bożej, której losy swoje z ufnością zawierzył. Tego jednak p. Stańczyk zrozumieć nie jest w stanie . . .

INWALIDZI

Polscy inwalidzi wojenni, którzy mają na terenie W. Brytanii zatwierdzony przez władze polskie swój Związek, skarżą się na stanowisko czynników urzędowych polskich, a w szczególności na Ministerstwo Opieki Społecznej, na czele którego stoi p. Stańczyk. Nie będziemy tu dziś przytaczać tych skarg, które powinny być wszechstronnie oświetlone. Nie może być jednak dobrze, skoro na tym tle dochodzi do demonstracyj na ulicy w postaci rzucenia się inwalidy pod samochód jednego z dygnitarzy polskich. Takie demonstracje są objawem bardzo znamiennym i lekceważyć ich nie należy nikomu.

Trzeba pamiętać, że traktowanie inwalidów jest sprawdzianem zdolności państwowych danego społeczeństwa. Gdyby kiedykolwiek do tego dojść miało, że ci, którzy przelali krew dla Ojczyzny, znaleźli się bez zaopatrzenia, a równocześnie obficie jedliby ze stołu państwowego tacy, którzy na rzecz spólnoty niczego nigdy nie poświęcili — znaczyłoby to, że sens państwowości odwrócony został do góry nogami. Proszę sobie wyobrazić, że ktoś, kto stracił na wojnie np. rękę, jest kwalifikowany do zaopatrzenia — lub nawet odprawiony z kwitkiem — przez kogoś, kto swoje stanowisko publicznego zaufania zawdzięcza protekcji, osobistym wysługiwaniem się lub wpływom postronnym. Wnioski z takiego stanu rzeczy mogłyby być wprost nieobliczalne . . .

NOWY MINISTER

Mianowany świeżo Ministrem Spraw Wojskowych dr. Marian Kukiel powiększy w Gabinecie liczbę nie tylko generałów, ale i profesorów, a to ze względu na swoje podwójne kwalifikacje i tytuły. Nie zmieni on jednak, pomimo całego swojego podwójnego ciężaru gatunkowego, dotychczasowego naszego ustroju wojskowego, lecz, wprost przeciwnie, jeszcze bardziej uwydatni jego nienormalność. Oto poraz pierwszy może na świecie Minister Spraw Wojskowych będzie podlegał Naczelnemu Wodzowi (gdyż ten jest równocześnie Premierem), a nie naodwrót. Minister Spraw Wojskowych zawsze odpowiada politycznie za Naczelnego Wodza i tylko w ten sposób ten ostatni stać może zdala od polityki i poświęcić się wyłącznie zagadnieniom przygotowania operacyj i dowodzenia.

"Dziennik Polski" donosi, że gen. Kukiel został "zaskoczony", nominacją, co ma oznaczać, że najpierw został zamianowany ministrem a potem dopiero zawiadomiony o tym. Znana to maniera w polityce polskiej, choć: *si duo faciunt idem, non est idem.* Więc też i analogii za daleko snuć nie należy.

UNIKAJĄ ZWIĄZKÓW Z KOMUNISTAMI

Pouczającym niesłychanie z punktu widzenia politycznego jest manifest Komitetu Wykonawczego Labour Party Wielkiej Brytanii, przestrzegający członków tego stronnictwa przed wchodzeniem w jakiekolwiek związki nie tylko z tut. Partią Komunistyczną, ale nawet z tworzonymi przy jej współudziale t.zw. Komitetami Anglo-Sowieckiej Przyjaźni. Manifest przypomina, że Komunistyczna Partia Wielkiej Brytanii tuż po wybuchu wojny zadeklarowała swoje poparcie i udział w walce "z faszyzmem," że jednak następnie zmieniła całkowicie stanowisko i występowała stale przeciw wysiłkowi wojennemu, aż wybuch wojny niemiecko — sowieckiej jeszcze raz zmusił ją do zmiany frontu.

Manifest głosi:

"Partia Komunistyczna popiera obecnie wysiłek wojenny nie dlatego, że Wielka Brytania jest lub była w niebezpieczeństwie, albo dlatego, że chodzi o wolność i demokrację, lecz . . . . jedynie ze względu na Rosję. Członkowie Labour Party nie mogą dać się sprowadzić na manowce przez kosztowną propagandę bardzo małej politycznej organizacji, dysponującej zagadkowo bardzo dużymi funduszami. Muszą oni zawsze pamiętać, że wiele narodów walczy po brytyjskiej stronie, a niektórym z nich zniszczono ich publiczne instytucje, wygnano rządy, a patriotycznych ich obywateli poddano pod reżim nazistowski lub faszystowski. Niektóre z nich zaiste mają równie wielkie tytuły do naszej szlachetności jak i Rosja . . ."

Widocznie kierownictwo Labour Party spostrzegło się, że działalność komunistów zmierza do przeniknięcia od wewnątrz instytucyj robotniczych brytyjskich pod maską entuzjazmu wojennego. Takie zatarcie różnic ideowych i programowych może wyjść na pożytek tylko extremistom. Z tego punktu widzenia należy też oceniać przywrócenie zawieszonego dawniej dziennika komunistycznego "*Daily Worker.*" Wychodzenie specjalnego pisma komunistycznego może mieć jako skutek wyraźne rozgraniczenie komunistów od zwolenników tylko pomocy wojskowej dla walczącej Rosji. r.

Z PRASY I PUBLICYSTYKI

CZY WALCZYMY O "DEMOKRATYCZNE" NIEMCY?

Pytaniem tym zajmuje się p. Voigt w istatnim numerze *Nineteenth Century and after*. Na pytanie to — niezupełnie retoryczne ze względu na stan opinii publicznej krajów alianckich — odpowiada autor przecząco:

"Niemcy, które nie są demokratycznym narodem, mogą pozornie przyjąć system demokratyczny, skoro tylko wojna obróci się przeciw nim. Postąpią oni tak, aby uspokoić Aliantów i zapewnić sobie przedwczesny pokoj, który by zostawił niezniszczone podstawy niemieckiej potęgi wojskowej i usprawnił Niemców do przygotowania Trzeciej Wojny Światowej. Twierdzenie jakoby wojna obecna toczyła się o demokrację jest nie tylko nieprawdziwe ale i niebezpieczne. Jeżeli pokój zostanie podpisany tylko dlatego, że wróg zostanie nawrócony na demokrację — wojna zostanie przegrana. Czy Hitler i "Naziści" dalej będą rządzili Niemcami czy nie — znaczy dość mało. Natomiast ogromną wagę ma złamanie wojennej potęgi niemieckiej i to złamanie jej trwałe. "Nazistowskie" Niemcy niezdolne do prowadzenia wojny będą zawsze korzystniejsze aniżeli "demokratyczne" Niemcy zdolne do prowadzenia wojny. Churchill i Stalin proklamowali obalenie "hitleryzmu" jako główny cel wojenny Alianckich Potęg: musi to obudzić jak najdalej idącą obawę co do zdolności zawarcia sprawiedliwego i trwałego pokoju przez Rządy Brytyjski i Rosyjski. Pokój winien być nie ideologiczny, ale pragmatyczny, a jego istota musi być określona wymaganiami strategicznymi Aliantów, a nie sentymentem i zabobonami."

"NACJONALIZM" HITLERA

"*Times*" pod datą 26. września zamieszcza ciekawą analizę hitlerowskiego poglądu na świat, ciekawą dlatego, że uwypukla w sposób przekonywujący sprzeczność głęboką i istotną między imperializmem Hitlera a prawdziwą ideologią narodową:

"W zamiarze, by z narodu niemieckiego uczynić powolne narzędzie, Hitler metodycznie zniszczył korzenie prawdziwego nacjonalizmu. Na zewnątrz, krew, ziemia, tradycja są gloryfikowane. W rzeczywistości więzy rodziny i domu, a nawet ziemi, do której się przynależy, więzy tradycji i obyczaju, są rozluźniane. Ludzie, których Hitler chce uczynić agentami panowania nad światem, muszą być wolni od wszelkich więzów, które mogą osłabić ich jedyne oddanie na rzecz funkcji przepisanej im w nowym porządku rzeczy. To nowe, społeczeństwo winno być odłączone od wszelkiej narodowej podstawy; jest to społeczeństwo klasowe, z sztywnym podziałem na funkcje. Historyczne pojęcie, jakim jest naród, nie może się tutaj przydać. Klasa kierownicza musi być wyhodowana na *pedigree* z wybranych Germanów i innych Nordyków. Jest wychowywane w *Ordensburgach*, w surowej dyscyplinie i całkowitej izolacji, trenowana do rządów. Ludność wiejska, mimo całej gadaniny o krwi i roli, jest bezwzględnie przenoszona, bez żadnego krępowania się związkami kraju ni tradycji,— jak to na swojej skórze doznali już bałtyccy Niemcy.

Tak pojęta funkcyjność klas społecznych jest znacznie bliższa porządku feudalnego w średniowieczu, niż jakiegokolwiek porządku narodowego. Decydująca różnica w porównaniu z feudalizmem leży w odłączeniu się od podstaw religijnych i moralnych, jakie feudalizm posiadał w prawie boskim i naturalnym, a co za tym idzie, w zarzucaniu wszelkich względów miłości i miłosierdzia, jakich to prawo wymagało."

"Jest ironiczną sprawiedliwością, konkluduje rzeczony artykuł *Times*'a, że podboje Narodowego Socjalizmu wzmocniły w narodach opierających się mu, najgłębsze pokłady narodowej zwartości i miłości ogniska domowego i ojczyzny, ukochanie wolności i narodowych tradycyj."

Ze związku tych narodów uciśnionych i męczonych, a co za tym pójdzie, odrodzonych i doświadczonych, wynikną, jak sądzi autor artykułu, nowe formy współżycia między narodami. "Narodowy Socjalizm, poprzez zniszczenie jakie spowodował, nauczył obrońców cywilizacji trzech rzeczy:

Że narodowa jedność jest wciąż jeszcze wielką siłą moralną,

Że społeczeństwo oparte na narodowej suwerenności nie zdoła podołać politycznym, społecznym i gospodarczym koniecznościom naszych czasów,

że wreszcie żaden porządek międzynarodowy nie może zyskać trwałości bez wartości moralnych."

Z tych trzech punktów jedynie pierwszy i trzeci przyjąć można bez zastrzeżeń.

VARGAS I SALAZAR

Spectator zajmuje się paralelą między tymi dwoma łacińskimi dyktatorami. Trudno! brazylijskie wypowiedzenie wojny, oraz piękna postawa Salazara, zmuszają opinię demokratyczną do cichej zgody na tę dyktatorską pigułkę. Taka to zresztą i dyktatura:

"Trudnoby było wybrazić sobie dwu ludzi bardziej pozornie od siebie różnych,

w rzeczywistości mają wiele wspólnego. Obaj są niezmordowani; obaj nacjonaliści w najlepszym tego słowa rozumieniu; obaj ponad wszelkie posądzenia o korupcję czy interesowność. Obaj są rdzennymi Portugalczykami. Vargas może z linii wielkiego Afonsa de Albuquerque, Salazar raczej z linii Henryka Żeglarza, tego zadziwiającego syna portugalskiego króla i angielskiej księżniczki, — tylko wody, po których on żegluje, są wodami, które pruje nawa państwowa, a nie oceanem, który odkrywał tamten książe. Salazar w porównaniu z Vargasem, jest bardziej wyłącznie ogarnięty swymi religijnymi przekonaniami. Jego koncepcja państwowa opiera się o silną wiarę, iż ludzka osobowość, jako Boży dar, winna być zachowana i rozwijana.

Jakkolwiek, z punktu widzenia swej politycznej konstytucji, Portugalia, rządzona konstytucją 1933 r., nie może być nazwana demokratyczną, w zwykłym tego słowa znaczeniu, jest ona prawdziwą antytezą państwa totalnego. I jest zasadniczo i rdzennie Chrześcijańska."

Sui generis demokracja . . .

LUDZIE Z VICHY

Review of World Affairs umie nieraz zdobyć się na sąd samodzielny, realistyczny, odbiegający od szablonów propagandowo — prasowych. We wrześniowym numerze znajdujemy na jej łamach ciekawą charakterystykę kierowniczych osobistości dzisiejszej Francji:

"Trzeba zawsze pamiętać, iż naprzekór wszystkiemu co się mówi dla wywołania przeciwnej impresji, Laval jest przede wszystkim francuskim chłopem z ciężką podejrzliwością wobec wszystkich cudzoziemców, włącznie z Niemcami. Nienawidzi W. Brytanii, ale brzydzi się też Niemcami. Jego polityka może jeszcze doprowadzić go do rozpaczliwych aktów na korzyść Niemiec — w tajemnicy swego chłopskiego serca pozostaje on indywidualistą i anty–Niemcem. Dla politycznego kompromisu był on jakoby komunistą, tak jak teraz mówi się o nim, że ma skłonności nazisty. Jednakowoż żaden chłop francuski nie mógłby naprawdę być ani jednym ani drugim — a nigdy nie było bardziej typowego chłopa, jak właśnie Laval. Jego chytre, chciwe, podejrzliwe oczy podają nam jego całego.

W wielu kierunkach jest on niezmiernie inteligentny i umie walczyć z wielkim uporem o swe cele. Pragnie on rzucać jaknajwiększe przeszkody pod nogi wszystkich znajdujących się w wojnie, a to dlatego, by jej dalej prowadzić nie mogli. Sądzi, że wycieńczenie i Niemiec i Anglo–Sasów da Łacińskiej Europie najlepszą jej szansę. Zaś w jego oczach Francja jest centrum Łacińskiej Europy, tak właśnie jak on, Laval, jest ośrodkiem Francjii . . .

Zdaje sobie Laval sprawę, z trzech wielkich dla siebie niebezpieczeństw. Oto one:

1. Zmuszenie go do walki po stronie Osi.
2. Zupełne zwycięstwo Aliantów z triumfalnym powrotem do Francji Gaullistów.
3. Przygniatające zwycięstwo Osi.

Wszystkie te trzy możliwości byłyby katastrofalne dla Lavala i jego planów. Byłyby one równie dotkliwe dla wszystkich innych potentatów Vichy — z wyjątkiem Marszałka Petaina, którego wiek podeszły i osobista popularność wciąż podtrzymują. W umyśle narodu stoi on ponad kategorią polityków reżimu.

Generał Weygand, wciąż zgorżkniały, więdnący i przebywający pod czymś w rodzaju otwartego aresztu, tkwi wciąż w swym niewzruszonym klerykalizmie i znajduje się całkowicie na marginesie, choć może jeszcze wrócić na widownię. Jest to dziwny człowiek dziwnego pochodzenia. Ponoć pochodzenia pół — królewskiego i wychowany w obcym pałacu. W swej karierze wojskowej prześladowany (?), dzięki swemu klerykalizmowi, teraz znów nie odegrał wielkiej roli. Ale jego nazwisko wciąż znaczy bardzo wiele dla Francuzów, i zapewne ostatni rozdział jego ciekawej historii nie został jeszcze napisany. Nikt nie umiałby dziś orzec, co ten rozdział będzie zawierał. Przebywa na południu przemyśliwując więcej nad przeszłością niźli nad przyszłością. I nic nie umiałoby zachwiać jego najgłębszym przekonaniem, iż Francja musi przejść przez oczyszczenie cierpieniem."

METROPOLITA SZEPTYCKI

The Tablet podaje niezmiernie ciekawe wiadomości o działalności Metropolity Szeptyckiego, idącej w kierunku unii kościelnej. Jeszcze ciekawsze są reakcje ze strony prawosławnej Ukrainy:

"Metropolita grecko-katolicki, Hr. Andrzej Szeptycki ze Lwowa, wydał był 30 grudnia 1941 r. list pasterski skierowany do wszystkich biskupów prawosławnych "w krainach ukraińskich," nawołując ich do złączenia się z Kościołem Rzymskim. List ten zwrócił powszechną uwagę. W liście tym podkreślono, że różnice religijne nie były najmniejsze wpośród tych wszystkich, które dzielą Ukraińców, i że religijna jedność mogłaby stać się potężnym czynnikiem w dokonaniu narodowej jedności. Metropolita Szeptycki zwracał się do wszystkich ukraińskich biskupów prawosławnych z wezwaniem, by skierowali uwagę na możliwości osiągnięcia jedności kościelnej w interesie ukraińskiego narodu.

Krakowski — świeżej daty — arcybiskup prawosławny Palladius, odpowiedział na tę inicjatywę swoim listem. Zaznaczył, że ludność ukraińska czekała 300 lat na takie wezwanie do jedności, i wyraził nadzieję że, przy obopólnej dobrej woli, da się zabliźnić rozdarcie, jakie w życiu k ościoła nastało pod koniec XVI stulecia, i wrócić do dawnej religijnej jedności ukraińskiego kościoła. Innymi słowy, arcybiskup Palladius nawoływał do Kościoła Prawosławnego takiego, jaki istniał w Polsce przed Unią Brzeską z roku 1596. Oznaczało to Unię Kościelną bez poddania się Stolicy Apostolskiej.

Wobec tego Metropolita Szeptycki wydał drugi list pasterski do ukraińskiej inteligencji, w którym wzywał do pracy nad religijną jednością. Równocześnie podkreślił istotę zagadnienia Unii, stwierdzając, że będąc greko-katolikiem, i to starym i chorym, nie mógłby stać się Metropolitą Kijowskim, natomiast, że chętnie uznałby prymat przyszłego Metropolity Kijowskiego, pod warunkiem —, gdyby jedność Kościoła została dokonana na katolickiej podstawie pomiędzy obu Wschodnimi Kościołami."

Ta wymiana listów pasterskich rzuca wymowne światło na to, co się dzieje na terenach ukraińskich, znajdujących się w całej rozciągłości pod okupacją niemiecką.

CZY WIECIE, ŻE . . . .

Pod tą rubryką znajdujemy w *Wiadomościach Misji Katolickiej w Londynie* następującą wiadomość:

"Jak wynika z raportu Biskupa W.P. Gawliny, który dojechał szczęśliwie do Rosji Sowieckiej, władze sowieckie nie zwolniły jeszcze dotąd, mimo nalegań, około 150 polskich księży zesłanych na Wyspy Sołowieckie."

POLITYKA KONSERWATYWNA W POWOJENNYN OKRESIE

Pod tym tytułem *Times* zamieszcza sprawozdanie z broszury Lorda Salisbury o tym samym tytule. Idzie tu więc o sprawę zasadniczą powojennych zamiarów programowych Stronnictwa Konserwatywnego:

"Konserwatyści, notuje *Times*, jak się z tej broszury okazuje, wierzą w kapitalizm, ale nie w *laissez faire*. Podstawowym i godziwym motywem w ekonomii politycznej jest pragnienie zarobienia osobistego dochodu i zbudowania sobie prywatnego majątku dla rodziny. Wypływa stąd, że porządek gospodarczy musi opierać się na przedsiębiorczości prywatnej, a nie powinien być rządzony przez biurokrację. "Ograniczenie nadmiernego bogactwa postępuje już szybko naprzód, ale . . . nie powinno na pewno stać się politycznym celem. Nie uda się nam usunąć biedy drogą niszczenia zamożności. Daleko łatwiej jest zniszczyć zamożność niż biedę, ale bieda jest wrogiem a nie zamożność" (Cytat ten pochodzi z oryginału Lorda Salisbury).

"Swoboda prywatnego przedsiębiorstwa niesie za sobą własne ryzyka, którym należy sprostać. W tym celu korporatywna organizacja i pracy i kapitału winna spotkać się z zachętą, choć należałoby zapobiec wywieraniu przez Związki Zawodowe nielojalnej (unfair) presji politycznej na swoich członków. Dla dalszego uniemożliwienia nadużyć ze strony prywatnych przedsiębiorstw Lord Salisbury liczy na "kierownictwo (guidance) państwa. Nie powinno to kierowanie posuwać się do nacjonalizacji, chyba tylko w szczególnych warunkach. Jednakowoż *prosperity* wielkich gałęzi gospodarstwa, szczegolnie rolnictwa musi być planowana (but the prosperity of the major industries, especially agriculture must be planned), budownictwo i praca roli (housing and land) muszą, się rozwijać pod kierownictwem, zaś *sprawowanie praw własności musi być kontrolowane*. System taryfowy, wraz z między — imperialną zasadą wolnego handlu, winien znaleźć się wśród instrumentów tego kierownictwa państwowego.

"Pomimo wszelkich możliwości płynących z prywatnej przedsiębiorczości, będzie napewno panowało jeszcze bezrobocie," sądzi Lord Salisbury. Państwo winno tedy interweniować bezpośrednio, dostarczając gdzie należy pracy o narodowej doniosłości. Jed--nakowoż prawo do pracy nie może implikować prawa do próżniactwa, a więc "żaden pracownik nie może mieć prawa odmawiania jakiejkolwiek sensownej pracy (any reasonable work) ofiarowanej mu w własnej gałęzi lub gdzieindziej (in their own trade or otherwise)."

W dalszym ciągu program konserwatywny przewiduje: "zapomogi rodzinne dla zachęcania rozrodczości; szkołę obowiązującą powszechnie po 15 rok życia z możliwościami dalszego kształcenia dla wszystkich dzieci zdolnych do dalszej nauki; obowiązkową służbę wojskową. Koszty tego całego programu winny być pokrywane głównie z podatku dochodowego na wszystkich szczeblach ale na pewno nie drogą daniny majątkowej (certainly not by a capital levy)".

KSIĄŻKA

"UNVEILED IRAN" By Angela Bodkin.
"A PERSIAN JOURNEY" By Fred Richards.

Od czasu jak wojska nasze, uwolnione z Rosji, gromadzą się w Iranie, czyli dawnej Persji, i my pragniemy przyswoić sobie jaknajwięcej wiadomości o geografii i historii tego państwa.

Dwie książki mogą nam w tym dopomóc. Jedna, wydana swieżo, to dość powierzchowne wrażenia energicznej Angielki, pełnej dobrego humoru i gotowości do przygód. Druga, z przed lat dziesięciu, może uchodzić za rodzaj klasycznego przewodnika po miastach i przeszłości Iranu. Rysunki, ale przede wszystkim artystyczna wrażliwość autora wyróżniają ją jako jedną z lepszych opowieści z podróży.

Persja jest krajem bardzo wielkim, obejmującym przestrzeń złączonych Niemiec, Francji i Włoch. Jest to wysokie płasko–wzgórze, nad którym znowu górują poszczególne łańcuchy górskie, a wśród nich, jak drogocenne klejnoty, pojedyńcze szczyty. Tak na północ od Teheranu widnieje wspaniała sylwetka Elbursa, a nad nią, w przeźroczystym powietrzu, wyrasta śniegiem pokryty Demawend (6400 m), w barwach zmienny jak kameleon, bo w ciągu jednego dnia przechodzi od gwałtownego błękitu do śnieżnej bieli, potem do bladej lawendy i znów odcieni jasno różowych.

Na płaskowzgórzu zima bywa ostra i surowa, szczególnie wśród przełęczy i przepaści w stronę Niszpuru i Tabrisu. Upały letnie spiekotą swoją przewyższają nawet Indie. Jak we wszystkich krajach, napół pustynnych, woda jest głównym zagadnieniem osiedli ludzkich. Tam gdzie są studnie, albo może powstać irygacja, rozszerzają się uprawne pola i mnożą ogrody. Prymitywni inżynierowie dokonali pod tym względem rzeczy niezwykłych. Okolice Yezdu albo Kermanu pokryte są wydłużonymi kopcami podobnymi do kretowin, pod którym strumyki, ujęte u stóp pagórków, spływają do miast. Głębokie cysterny, zamurowane w piwnicach, przechowują też wodę.

Są strefy, gdzie tylko zieleni się wegetacja wiosenna, a nastepnie kanikuła wypala wszystko. Rzeki zaczynają się niespodziewanie i w tajemniczy sposób znikają. Iran nie został obdarzony żadną wielką rodzinną rzeką. Wszędzie za to żyzne płaskowzgórze porżnięte jest przez jary, czyli wyschle latem koryta bujnych, wiosennych potoków.

Mechaniczna cywilizacja, po Turcji i Chinach, wtargnęła również i do Iranu. Przede wszystkim usadowiła się w stolicy — Teheranie, gdzie wybudowano kilka nowoczesnych ulic i kilka europejskich sklepów. Pomnożyły się drogi i samochody. Koczowniczym plemionom górskim odebrano broń i stopniowo zmuszono do osiedlenia w dolinach. Znikła tajemnicza wyłączność haremów i meczetów, owo prawo "bast" broniące wstępu cudzoziemcowi, "farandżi", do bazarów i miejsc świętych. Mułłów odarto z ich wpływów i posiadłości, ale pewnie nie jeden raz jeszcze muzułmański fanatyzm tłumów rozpęta się na nowo.

Zmiany te odbiły się szczególnie na wyglądzie ludności, bo pozbawiona dawnych strojów i turbanów, szarzała. Jedni żebracy, bardzo liczni, dzięki łachmanom i słońcu zachowali istotną malowniczość. Zmiany te są tym bardziej powierzchowne, że od przeszło 300 lat Persja zakrzepła i obumarła, zarówno pod wyględem natchnienia artystycznego, jak i sprawności w rzemiośle. W bazarach kupujący musi się zadowolnić pseudo lokalną tandetą. Fatalizm zaszczepiony przez Mahometa nie usposabia ludności do szanowania pamiątek. Piękne meczety o kopułach z zielonobłękitną glazurą, mosty będące szczytem sztuki budowniczej, trwają albo kruszeją w stanie opuszczenia. Ta mnogość ruin, te ślady tysiącletnich cywilizaeji są powszechną cechą wschodu. Podobnie jak w Syrii i Palestynie obrazy z Pisma św. trwają niezmiennie: studnie, wielbłądy, osiołki, karawany, owce i ich pasterze. Każde miasto słynie ze swoich bazarów, czyli wielkich, sklepionych ulic, pełnych bram, zakamarków i walących się stropów. Tam znaleźć można czego dusza zapragnie z dziedziny rzeczy prostych, przede wszystkim zaś przyjrzeć się, jak każdy przedmiot powstaje, garnek, siodło rondel albo dywan. W bazarach piecze się chleb, czyli rodzaj długiego blina albo placka, służącego za talerz do innych potraw, w bazarach sprzedaje się owoce ze słynnych ogrodów, leżą na ziemi piramidy ogórków, melonów, kawonów. Przez tłum przeciskają się wielbłądy o pogardliwym wejrzeniu, drepcą pocieszne osiołki, ostentacyjnie przejeżdżają dorożki, zwane z rosyjska dróżkami; wehihuły w rodzaju wiktorii, obite barwnym pluszem, a zaprzężone w parę koni o ufarbowanych grzywach i ogonach. Rudo–złocista farba zwana henną, połyskująca na głowie niejednej europejskiej elegantki, w Persji nie tylko zdobi konie, ale odmładza brody zamożnych kupców.

Wśród gwaru plotek u golibrodów, wśród dźwięków radia dochodzącego z Kairo, a wygrywającego monotonne melodie, wlecze się targowanie, czyli ustalony obyczaj handlu. Kupiec nie żądający najwyższej ceny, a kupujący nie dający najniższej, nie znaliby zasad gry.

Herbaciarnie są drugą powszechną cechą, uprzyjemniającą życie, z nieodzownym samowarem. Znaleźć je można wszędzie, bywają umieszczone pod szałasem albo drzewem, nad brzegiem strumyka, albo u progu muru z bitej gliny i dużej bramy, prowadzącej do miasta. "Czaj," bo tak się nazywa od dziesiątków lat, zastąpił dawną kawę. Samowar wędruje wszędzie. Stoi obok dywanu, rozciągniętego na ziemi, w cieniu zacisznym ogrodów i bywa wynoszony o wczesnej wiośnie, w dzień N. Roku, "No Ruz," przez gromady wycieczkowiczów, nad arkady słynnego mostu w Isfahanie.

Iranczykowie pozwalają sobie jeszcze na inną przyjemność, znacznie niebezpieczniejszą. Palą opium. Zawsze hodowali, wywozili i szmuglowali ten narkotyk, wyrabiany z maku, którego wielkie pola, biało kwitnące, mnożą się w żyźniejszych okolicach.

Podróże, od dawien dawna, z powodu wielkich odległości, zaczynały się o świcie. Poprzedzająca noc, schodziła już na przygotowywaniu prowiantów i pakowaniu tobołów. Zwyczaj ten się nie zmienił z rozpowszechnieniem samolotów i nigdzie Europejczycy nie poznają tak często pięknego świtu, jak w Iranie. Przyjeżdżają na lotnisko o porze, kiedy księżyc rzuca błękitne cienie na pustynię, potem widzą jak blednie na niebie, a jutrzenka zarysowuje ciemne grzbiety pagórków na wschodzie. Loty są często męczące i niebezpieczne, bo trzeba je odbywać na wielkich wysokościach z powodu łańcuchów górskich, albo lecieć między szczytami, nad głęboką przepaścią. Aż wreszcie, znów na rozległej płaszczyźnie zaczynają migotać barwne punkty. Są to złociste, lub błękitne kopuły meczetów.

Każde miasto słynie z pamiątki, grobowca, obrzędu. Koło Yezdu i Kermanu wznoszą się samotnie "wieże milczenie," miejsca, dokąd czciciele ognia wynoszą swoich nieboszczyków, na pożarcie przez sępy. Isfahan upiększył i rozbudował słynny Szach Abbas, który panował równocześnie z królową Elżbietą w Anglii i z wielką goscinnoscią przyjmował braci Sherley, jej wysłanników. Wedle legendy, z Szirazu wyruszyli Mędrcy ze Wschodu, kierując się za gwiazdą do Betleem. Tam również, wśród róż i cyprysów, spoczywają dwaj najwięksi poeci perscy: Sadzi i Hafiz. Na południowschód od Szirazu leżą ruiny Persepolis, równie okazałe, jak rzymskie w Balbeku, albo egipskie w Luksorze. Była to stolica wielkich królów Persji, Dariusza i Kserksesa. Aleksander Wielki, zdobywszy Persepolis, spalił je na zakończenie pijackiej uczty.

W podwalinach tarasów, schodów i głazów pozostała niebłagana siła. Tutaj wedle słów Shelley'a zadumać się można "nad pamiątkami młodości świata," które "zachowały w sobie wstrząsającą tajemnicę urodzin "Czasu." Można też tu rozmyślać nad tym "jak zmarli ludzie, zawiesili swoje nieme myśli dookoła niemych ścian," oraz zagłębiać się w melancholijne opowieści o zakrzepłym okrucieństwie, minionych podbojach, rozgromionych królestwach. Medowie i Persi przetrwali Aleksandra Wielkiego i oparli się Rzymowi, ale upadli pod ciosami Arabów w VII wieku po Chrystusie. Tych znów pobił Tamerlan i Turkomani. Dziś okupują czasowo Persję Anglicy i Rosjanie.

Jan Rajecki

KSIĄŻKI I BROSZURY OTRZYMANE

Od Redakcji: Recenzje z nadsyłanych książek i broszur będą ukazywać się stale w miarę miejsca w naszym czasopiśmie.

Henryk Bagiński: *Poland's Freedom of The Sea*, z przedmową gen. dr. Mariana Kukiela, nakładem The Allen Lithographic Co., Ltd., Townsend Place, Kirkcaldy (Fifeshire), 1942, 12 szkiców i map, 35 fotografij, cena 12/–.

Henryk Bagiński: *Poland and The Baltic*, z przedmową Alana Grahama posła do Parlamentu Brytyjskiego, nakładem Oliver and Boyd Lrd., London, 98 Great Russell Street, W.C., lub Edinburgh, Tweedale Court, 14 Hight Street, 1942, 50 map, szkiców i wykresów, cena 15/–

A. T. Lutosławski: *O propagandzie*, nakładem A. R. Foster, 76 Princes Gate Mews, S.W.7, Londyn, 1942, stronic VI i 116 (4 stronice bibliografii przedmiotu), cena 4/6.

I-szy Kongres Polaków w W. Brytanii, nakładem Rady Polaków w W. Brytanii. Londyn, 1942. Cena 1/–.

1st Congress of Poles in Gr. Britain, published by The Council of Poles in Gr. Britain, London, 1942.

Jan Chyszowski: *Imperializm i federacjonizm — Rozważania geopolityczne*, Wydawnictwo "Ruchu Zachodnio–słowiańskiego." Edinburgh and London, 1942, drukiem Oliver and Boyd w Edynburgu. Cena 4/–.

Wydawnictwo "Nauka Chrystusowa," p. 75 Polish Forces. Printed for the Head

Chaplain to the Polish Troops in Scotland by the Allen Litho Co. Ltd., Kirkcaldy, Cena każdej broszurki—6d.

Nr. 18. Kornel Ujejski: *Skargi Jeremiego.*

Nr. 19. o. I. M. Bocheński O.P.: *O patriotyzmie.*

Adam Mickiewicz: Wyjątki z dzieł oraz niektóre całe utwory Adama Mickiewicza w wydawnictwie "*Pomniki literatury ojczystej,*" tom II, zeszyt 1. nakładem Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych R.P. w Londynie, 1941, opracowała Aleksandra Dobrowolska, str. 94, drukiem F. Mildner & Sons, Herbal Hill, London E.C.1. Cena 1/–.

O POEZJI SŁÓW KILKA

Ujmujący swoją prostotą zbiorek wierszy p. Wiesława Strzałkowskiego[1] skłania mnie do napisania paru uwag o niezrozumialstwie w poezji. A contrario: właśnie dlatego, że te wiersze są tak, a czasem i aż nadto, zrozumiałe.

Zwyczajna postawa czytelnika naszego wobec poezji jest taka — że aż czasem doprowadza do obrony poezji zaklętej, trudnej, i na cztery spusty zamkniętej (*trobar cluz*, twórczość zamknięta jak mówili Prowansalczycy przed siedmiu czy ośmiu wiekami). Przeciętny pożeracz gazet i zjadacz tytułów, napotykając okiem poezję, nie wybiega naprzeciw niej swą myślą i rozumieniem, nie stara się jej ogarnąć i zewrzeć w sobie (comprehendere, comprendre), ale traktuje ją jako coś, co winno samo wleźć do ucha. W rzeczywistości, takim wymaganiom odpowiadać może napis na karmelku i paście do zębów, ale nie utwór literacki. Poezja jest sprawą poważną i żywą, wolno jej być nową, wolno jej — i należy niekiedy — wybiegać poza zwykłego odbiorcę i przeciętnego czytelnika. Nie on jest jej kierownikiem i niwelatorem, ale ona jego mistrzynią i przodownicą. Wolno jej nawet wyznaczyć mu trud za zadanie i rzucić mu kość, którą trzeba rozgryść by szpik wyssać (ostatni ten obraz nie pochodzi z futuryzmu ni modernizmu, ale jest powtórzeniem za mistrzem Rabelais, współcześnikiem Reya).

Wszystko to w obronie poezji trudnej i "niezrozumiałej." Nie wynika z tego ani trochę obrona manii i snobizmu niezrozumialstwa w sobie. Jak każda poza, i taka postawa jest lekceważenia godna.

Wszystko to nie w obronie wierszy Strzałkowskiego, które takiej apologii nie potrzebują. Ba, wręcz przeciwnie, mieszczą się one nieraz w swej formie za dobrze, między myślą a klamrą wiersza jest czasem jakby wolne miejsce, któreby się chciało wypełnić jakąś tajemnicą, jakimś niedopowiedzeniem. Wiersz jest tu — nieraz — tak łatwy i tak przejrzysty, że aż się go czasem chętka bierze zlekceważyć, — jak prozę.

Tymczasem osąd taki byłby niezmiernie krzywdzący i zbiorek i autora. P. Strzałkowski często bardzo ma prawdziwe znaleziska poetyckiego wyrazu, które każą w nim widzieć poetę szczerego i rzetelnego. Jego stosunek do przyrody jest samoistny i interesujący. Jedna, druga, trzecia strofa zapada w pamięć i na pamięć zasłużyła, a jeno ich sąsiadki nie dotrzymują im kroku i dlatego rzadko kiedy całość — chyba krótka — jest na wyżynie cząstek.

Ale te strofy poniektóre są niezmiernie ujmujące swą przejrzystością, przez którą widać czucie i myśl autora, jak mieszka w bursztynie:

Wieczorem księżyc stąpa bosy
Jak polski pastuch po ściernisku
Lub duch zmarłego w uroczysku.

albo owe *Listy z kraju*, prawie że etymologiczne liście:

Przyleciały listy jak mewy
Niespokojne, nieśmiałe, lękliwe
Wraz z poszumem jesiennej ulewy,
Napół martwe ze smutku, pół żywe.

O prostocie Strzałkowskiego powiedzieć jeszcze jednak trzeba rzecz ważną: oto nie jest ona początkiem ale jest osiągnięciem, nie jest łatwizną, ale wynika z przemyślenia i przedzierania się przez gąszcze. Jeśli zauważyć, że autor parał się i para filozofią ścisłą prostota ta będzie wręcz zasługą . . .

A więc *Credo*. Jakie?

Szukałem Ciebie w obrazach, myślach
i słowach,
Szukałem Ciebie w głębi ludzkich serc,
A Ty jesteś rzeczywistość wciąż nowa,
A Ty jesteś jak życie i śmierć.

A więc Polska, *Polska wsród żołnierzy*, w Szkocji:

Nieraz do polskich żołnierzy
Kopiących okop i schrony,
Przychodzi Polska królewska
W purpurze krwi swej czerwonej.

Rzadko przychodzi wspaniała,
Jak jaka wielka królowa,
Częściej jesiennie jest smutna
Ta nasza Polska wrześniowa.

Raz stojącemu na warcie
Miłośnie w oczy zajrzała,
Jakgdyby o coś prosiła,
Jakgdyby o coś pytała . . .

Wreszcie najładniejszy może *Powrót do kraju*:

Gdy powrócimy już do kraju,
Nas nie przywita defilada,
Krzyże u dróg nas przywitają,
Wtedy grób będzie z grobem gadał.

I opowiadał Polski dzieje,
I będzie mówić próchno kości,
I wiatr, co smutno w polu wieje,
Będzie nam śpiewał o wielkości.

Z jakich stron Polski jest autor?

Nie trudno zgadnąć:

Jakaś rzeka płynąca szeroko,
W wodorostach zgubiona i mgłach,
Wozy, które leniwo się wloką,
Koła, które wrzynają się w piach.

Gdzieś na wydmach karłowate sosenki
. . . . .
Wrzosy smutno płynące ze wzgórz.

Zaiste, choćby nie było mowy o *mazowieckich* i *nadświdrzańskich* polach i łęgach, łatwo by te umiłowane przez autora okolice rozpoznał i nazwał

Mazur.

[1] Wiesław Strzałkowski: "*W obozie w Szkocji*" Londyn 1942.

Listy do Redakcji

CZYJE NADUZYCIA?

Panie Redaktorze,

W N-rze 31 "*Myśli Polskiej*" zacytował Pan z "*Robotnika Polskiego*" w Nowym Yorku wiadomość o nadużyciach przy wysyłce pomocy rodakom naszym w Rosji za pieniądze Rządu Amerykańskiego. W N-rze następnym zacytował Pan komunikat ministra Stańczyka, ogłoszony w Ameryce, o zarządzeniu śledztwa w kołach polskich, które zajmowały się wysyłką. Bardzo słusznie zaznaczył Pan, że czynniki urzędowe w Londynie wykazują jakąś "*dziwną wstydliwość,*" nie informując o tych sprawach Polaków w Wielkiej Brytanii. Natomiast nie zaznaczył Pan, że kiedy organ P.P.S. w Nowym Yorku opisuje *różne* nadużycia, Minister z ramienia P.P.S. w Londynie *ogranicza* sprawę do nadużyć "w związku z wysyłką starej odzieży dla obywateli polskich w Rosji" . . . A jak tam było z kocami bawełnianymi zamiast wełnianych, z obuwiem, którego podeszwy były "z nietrwałej masy przepuszczającej wodę" i ze "skoncentrowaną zupą" w konserwowych puszkach zamiast mleka i tłuszczu? Czy tu także winni są tylko jacyś "panowie Freedman"?

Z wyrazami etc.

S. S.

PIŁAT

Do Redakcji "Myśli Polskiej,"

W związku z pewnym ustępem w przeglądzie prasy w "Myśli" z dn. 22 września 1942, nie zupełnie nadającym się do dyskusji w środowisku wyłącznie polskim, pozwalam sobie jednak dodać informację natury faktycznej dla tych, którzy by mogli być zwiedzeni twierdzeniami zawartymi w przytoczonym cytacie. Mianowicie prokurator rzymski w Judei Piłat Poncki (z Pontium) nie tylko nigdy nie został kanonizowany jako Święty, ale w ogóle nigdy nie został Chrześcijaninem. Wedle apokryficznych "Dziejów Piłata" z IV wieku żona jego, która miała nazywać się Klaudia Procula, miała jakoby zostać Chrześcijanką. Podanie to powstało na pewno w związku z Ewangelią św. Mateusza, który informuje, że kiedy już Piłat siedział na stolcu sędziowskim, by rozpatrzeć sprawę Chrystusa, "*posłała doń żona jego, mówiąc: Nic tobie i sprawiedliwemu temu; albowiem wiele cierpiałam dziś przez sen dla niego.*' Nie potrzeba dodawać, że wstawiennictwo tej dobrej kobiety nie odniosło skutku, a zostało dla nas tylko świadectwem dramatu, jaki się rozgrywał w sercu ludzkim, dotykającym nieświadomie największej Sprawy w dziejach ludzkości.

Jako wielbiciel angielskiego pisarza katolickiego Bensona pozwolę sobie za nim przypomnieć, że niestety ród Piłatów nie wygasł do naszych czasów. Czyż nie widzimy na każdym kroku, jak umywają ręce przed każdym wielkim problemem, który by wystawił na próbę ich interes lub choćby tylko spokój osobisty?

M. K.

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcja:

92, Eamont Court, Regents Park, London, N.W.8

Telephone - - PRImrose 4350

Prenumerata kwartalnie:

(6 numerów) - - - 6/- lub $2

Prenumerata półrocznie:

(12 numerów) - - 12/- lub $4

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1, October 1, 1942